RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



NASTRÓJ WAKACYJNY.

ROK IX WARSZAWA LIPIEC — 1935

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 1/4 — zł 200, 1/8 — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	7 zł.	Czechosłowacja	40 kor. cz.
Niemcy	5 R. mk.	Ameryka	2 dolary
Francja	25 frank.	Inne kraje	7 fr. szw

PÓŁROCZNA Prenumerata w Polsce — 3 50 zł; **KWARTALNA** — 2.00 zł. **CENA POJEDYŃCZEGO** numeru — 60 gr.

Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 240-15.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK IX. WARSZAWA LIPIEC 1935.



Rokoko.

SZCZĘŚCIE CZŁOWIEKA

Szczęście!!! — Co za przemiłe słowo!

Na jego wspomnienie serca zaczynają bić żywiej.

Chcą go i pragną wszyscy. Szukają go wszyscy. Wszyscy do niego dążą. Starzy, młodzi, kobiety, mężczyźni, zdrowi, chorzy, bogaci i ubodzy. Jedni podświadomie, czasami bezmyślnie. Inni z pełną świadomością, a nierzadko z dużem natężeniem umysłu. Zato wszyscy dążą do szczęścia stale, bez przerwy i bez wytchnienia. Człowieka, któryby chciał być nieszczęśliwym, historja nie pamięta. Takiego nie było i nie będzie, bo człowiek z natury chce być szczęśliwym, chce posiąść całą jego pełnię. Chce je mieć nie dzień, miesiąc czy rok nawet, ale zawsze. Szczęście to punkt, w którym stykają się wszystkie aspiracje ludzkich serc, to oś, wokoło której obraca się historja ludzkości. Cała kultura i wszelka cywilizacja poto tylko istnieje, by maksimum szczęścia zapewnić ludzkości.

Dlaczego jednak tak mało jest szczęścia na świecie? Dlaczego tak bardzo ludzie uskarżają się na jego brak? Odpowiedź bardzo prosta. Bo większość ludzi uważa za szczęście to, co jest tylko jego cieniem. Bo szuka go tam, gdzie go niema. Tak było w przeszłości, tak jest dziś i tak zawsze będzie. Już w odległych czasach starożytności jedni upatrywali szczęście w cnocie, w powściągliwości, inni w największem rozpasaniu zmysłowem. Jedni w bogactwach jaknajwiększych, inni w zupełnem wyrzeczeniu się dóbr ziemskich. Jedni w tem, inni w przyszłem życiu. Z biegiem wieków zmieniały się kierunki, ale rozbieżność zasadnicza pozostała ta sama. Skutek zaś jest ten, że większość ludzi przez całe życie ugania za błędnemi ognikami w tem złudnem przekonaniu, że jest na drodze najprostszej i najpewniejszej do szczęścia. Tymczasem są to bezdroża i manowce, które człowieka do szczęścia doprowadzić nie mogą.

Smutnym jest los człowieka, który przez całe życie pracuje dla szczęścia i dopiero w ostatniej chwili orjentuje się, że to, do czego dążył, było tylko pozorem. Ale stokroć smutniejszym jest los tego, który nawet w ostatniej chwili życia nie zorjentował się, że całe życie się łudził i w ostatniej chwili nawet nie zrozumiał co to jest szczęście i gdzie go szukać.

Niesłychanie więc ważną jest rzeczą tak dla poszczególnego człowieka, jakoteż dla całej ludzkości, zdać sobie sprawę, co to jest właściwie szczęście i gdzie go szukać?

„Szczęście — powiada Boetius — to stan wypływający z posiadania wszystkich dóbr". Mówi oczywiście o szczęściu z u p e ł n e m, bo jakieś małe zadowolenie, przejściową przyjemność może człowiekowi dać bądź jaka rzecz, ale szczęście stąd wypływające będzie tylko niezupełne i niedoskonałe. Kiedy już mowa o szczęściu doskonałem, trzeba jeszcze dodać, że szczęście doskonałe może być naturalne czyli przyrodzone i nadnaturalne czyli nadprzyrodzone. Pierwsze odpowiada przyrodzonym skłonnościom natury, drugie skłonności te przewyższa. Człowiek z natury pragnie szczęścia zupełnego, ale naturalnego tylko.

Ponieważ każdy człowiek dąży z natury do szczęścia, musi istnieć coś takiego, co jest w stanie wszystkich uszczęśliwić, a równocześnie dla wszystkich jest dostępne. Musi to coś dać człowiekowi szczęście zupełne, bo człowiek, jak już wyżej powiedziano, pragnie szczęścia zupełnego i pragnie go na zawsze.

Przedmiot więc, który ma w sobie wszystkie dobra i który ma dać człowiekowi szczęście, jakiego on pragnie, musi: 1) być dla wszystkich dostępny; 2) dać człowiekowi zadowolenie zupełne i 3) dać mu to zadowolenie na zawsze.

Ze wszystkich rzeczy najbardziej pożądane są przez ludzi bogactwa i przyjemności zmysłowe. Mogłyby one człowieka wtenczas tylko uszczęśliwić, gdyby posiadały owe trzy właściwości, wymagane do szczęścia. Lecz, niestety, tego nie mają. Ani bogactwa, ani przyjemności nie są dla wszystkich ludzi dostępne. Świat istnieje już tysiące lat i mimo największych wysiłków ze strony co najzdolniejszych ludzi ogromna rzesza ludzkości pozbawiona jest bogactw tego świata, bez nadziei zmiany na lepsze. A kto niema pieniędzy, ten i na przyjemności zmysłowe niebardzo może sobie pozwolić. Czasem zaś może mieć i bogactwa, a przeszkadzają mu w użyciu dóbr tego świata choroba czy inne niedomagania. Ani bogactwa więc, ani przyjemności zmysłowe nie są dla wszystkich dostępne. Człowiek bardzo nieraz bogaty ma tyle różnych innych strapień, tyle różnych innych kłopotów, tyle różnych niedomagań, że trudno uważać go za szczęśliwego. Podobnie ma się rzecz z przyjemnościami zmysłowemi. Mogą one zaspokoić pewne instynkty człowieka, ale nigdy nie zaspokoją jego ducha. Przy zaspokojeniu zmysłów człowieka tyle innych jego pożądań pozostanie niezaspokojonych. Ani tedy bogactwa, ani zmysłowe przyjemności nie mogą dać człowiekowi zaspokojenia zupełnego. Gorzej jeszcze przedstawia się sprawa, gdy chodzi o posiadanie bogactw czy przyjemności zmysłowych na zawsze. Jak często traci je człowiek z różnych powodów w ciągu życia, a już w najlepszym wypadku utraci je z chwilą śmierci. Nie może tedy nigdy być pewnym, że pozyskał je na zawsze. Widzimy więc, że ani bogactwa, ani przyjemności zmysłowe nie są w stanie uszczęśliwić człowieka, bo brak im, nie jednego, ale wszystkich trzech warunków do szczęścia wymaganych. Jeżeli więc te rzeczy, za którymi ludzie najwięcej się uganiają, nie dają człowiekowi szczęścia, to tem bardziej nie będą go mogły dać żadne inne rzeczy stworzone, czyli, że kwestja zupełnego szczęścia jest na tym świecie zupełnie przekre-

Poza rzeczami stworzonemi istnieje niestworzony tylko jeden Bóg.

Czy Bóg może dać człowiekowi szczęście zupełne? odpowiedź na to nietrudna. Natura pragnie szczęścia zupełnego. Pragnienie to nie może być daremne. A ponieważ żadna rzecz stworzona nie może go zaspokoić, więc tylko Bóg pozostaje, który może i powinien je zaspokoić. I Bóg rzeczywiście zaspokoi to serce. Arystoteles powiedział, że wszelkie ziemskie szczęście jest niedoskonałe. Św. Augustyn, który początkowo nie krępował się w używaniu dóbr tego świata, powiedział: „Niespokojne serce moje, dopóki nie spocznie w Tobie, Panie". A wreszcie Chrystus mówi: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce ludzkie nie wstąpiło, co Pan nagotował tym, którzy Go miłują". Nie obiecuje więc Chrystus szczęścia zupełnego tu na ziemi, bo nie jest możliwe, ale zato po śmierci obiecuje miłującym go szczęście doskonałe, szczęście zupełne i to nie przyrodzone tylko, ale takie, które przewyższy wszystkie pożądania ludzkiego serca. Wszystko bardzo pięknie! — Ale co wobec tego począć



Kwitnące fiołki alpejskie

na ziemi, jeżeli tu szczęścia osiągnąć nie można. Dwie rady możemy dać w tej sprawie.

Pierwsza to ta. Szczęścia zupełnego tu na ziemi niema, a więc nie trzeba go tu oczekiwać. Jest jednak rzeczą pewną, że świat dużo może dać człowiekowi zadowolenia, dużo przyjemności. Korzystanie z tych przyjemności w pewnych, prawem Bożem czy ludzkiem przewidzianych ramach, nietylko jest dozwolone, ale w większości wypadków konieczne. Natura z wszystkiemi swemi popędami ma pewne prawa i pewne wymagania. I nie używanie dóbr ziemskich jest złe, ale nadużywanie ich, czyli używanie bez liczenia się z jakimkolwiek prawem.

Drugą radą, jaką dajemy, to ta, że maksimum zadowolenia tak jednostka, a zwłaszcza społeczeństwa ludzkie mogą osiągnąć tylko w granicach praw etyki. Zupełne szczęście ludzkie na ziemi nie jest, jak już wyżej mówiliśmy, możliwe. Możliwe są jednak pewne przyjemności, czyli możliwe jest szczęście niezupełne. Chodzi więc o to, w jaki sposób tu na ziemi można maksimum szczęścia niezupełnego dla ludzkości zapewnić? Nie trzeba się długo nad tem rozwodzić. Porządek, jaki wypływa z natury rzeczy, jest najprostszą drogą do największego tu na ziemi możliwego szczęścia. A porządkiem tym, to nic innego, jak prawo natury. Na tem zaś prawie wszystkie inne prawa się budują i budować powinny. I tylko w ramach tego prawa, zarówno jednostka, jak i ludzkość cała, mogą znaleźć maksimum szczęścia, możliwego tu na ziemi. — Zupełne zaś szczęście tu na ziemi jest niemożliwe.

Trafnie więc woła Konopnicka:

„Szczęścia! szczęścia! choćby chwilę,
Przelotną wśród burz,
Co skrzydełka ma motyle,
Znika z blaskiem zórz.
Choćby tyle, ile rosy
W polnym kwiecie drży,
Wiosno, ziemio, wy niebiosy!
Szczęścia dajcie mi"!

KOTECZEK

W pierwszej chwili trudno w myśli pogodzić tak rozbieżne rzeczy jak to, żeby ktoś nosił infułę, był senatorem, potem nawet prymasem, a jednocześnie posiadał przezwisko Koteczka. Lecz nie można mówić o nieprawdopodobieństwie takiego faktu, bo było tak z tegorocznym jubilatem — Ignacym Krasickim. W stylowej korespondencji francuskiej, którą król Stanisław August prowadził przez lat kilkanaście z panią Geoffrin i w której pisało się nie nazwiska osób, a ich wymyślne pseudonimy, Krasicki nazywany jest Minetem — poprostu Koteczkiem.

Koteczek! To musi być koniecznie jakieś rozkoszne stworzenie do zabawy, nie do współpracy — stworzenie, które wymaga odpowiednio zbytkownej dla siebie oprawy i które pomimo wszystko zawsze znajdzie wielbicieli. Takim był Krasicki i gdyby zaszła potrzeba naklejenia etykietki, którąby w jednem słowie zawarła całą charakterystykę człowieka, nie możnaby było napisać nic innego, tylko to właśnie: Koteczek!

Dużoby pisać można o poetyckich dziełach Xięcia Biskupa Warmijskiego — nawet arcydzieł nie raczył podpisywać inaczej — ale ciekawszy jest jego portret wewnętrzny. Życie tego człowieka jest właściwie niemniej zachwycającem dziełem jak któryś z jego żartobliwych arcypoematów. I znowu ciekawe nie przez ogrom i rozmach prac dokonanych, przez zestawienie dat i faktów; źródłem ciekawości są raczej fakty, świadczące o k o t e c z k o w a t o ś c i.

Miał Krasicki w życiu rzecz najbardziej godną zazdrości: przysłowiowy funt szczęścia. Miał wprawdzie także funt rozumu, ale wątpić można bezceremonjalnie, czy zaszedłby tak daleko, nie mając szczęścia, które potrosze leżało, być może, w jego miłym wyglądzie, przyjemnym sposobie bycia i nieocenionej towarzyskości.

Powiedzieliby ludzie przesądni, że gwiazda, która świeciła w Dubiecku nad Sanem 3 lutego 1735 r., była gwiazdą szczęśliwą. W rzeczy samej niewiele było danych, żeby przepowiadać tak świetną przyszłość, która czekała pierworodnego Ignacego Franciszka Błażeja. Rodzina hrabiów Krasickich była wprawdzie utytułowana, kiedyś nawet podobno była bogata, „z biegiem czasu wszakże podupadli” [1]). Stopniowe biednienie rodów — to nie żadna nowość. Potomkowie rycerstwa, które od jedenastego wieku siedziało w ziemi rawskiej, powoli, drogą przez szlachtę zagonową, spadli do rzędu chłopów pańszczyźnianych na Podlasiu. Dzielenie majątku nieuchronnie do tego prowadziło, radziła więc sobie szlachta jak mogła. Sienkiewicz, który sam był produktem takich procesów, pisał kiedyś z jakąś fatalistyczną wiarą, że „każdego roku pewna ilość rodzin wiejskich musi wyjść z ziemi i znaleźć się na bruku” [2]), niezadobrze jednak to świadczy o przedsiębiorczości takich rodzin. Na początku ubiegłego wieku „bracia Czerwińscy postanawiają dla utrzymania prestiżu rodziny majątku dziedzicznego nie dzielić i ożenić się tylko jednemu, który przy Iwachnowcach pozostanie.” [3]) Stary ojciec Jan Boży hr. Krasicki począł sobie inaczej: majątek rodowy zostawił drugiemu skolei synowi — Antoniemu, a Ignacego, Marcina, Franciszka Ksawerego i Karola — wsumie czterech pozostałych synów „wykierował na księży”. Z czwórki tej do wysokich godności doszedł tylko Ignacy; pozostali bracia zawdzięczali wszystko jemu wyłącznie.

Nie mogąc wiele liczyć na dom, musiał sobie przyszły Koteczek znajdywać możnych protektorów, a więc będzie to najpierw biskup Michał Kunicki, po jego zaś szybkiej śmierci Franciszek Salezy Potocki, nazywany „królikiem Rusi” — z tych Potockich, którzy przed dwudziestu paru laty potrafili porywać z kolebki przyszłego Stanisława Augusta Poniatowskiego jako zakładnika [4]). Dwudziestoparoletni Krasicki, który już przed święceniami uzyskać zdołał rentowne stanowiska, nie jest bynajmniej stronnikiem Czartoryskich, nawet wręcz przeciwnie: po śmierci Augusta III oddaje się propagandzie na korzyść stronnictwa saskiego, jaknajkategoryczniej przeciwnego Familji; nie upływa jednak wiele miesięcy od elekcji Stanisława Augusta, Krasicki jest kapelanem królewskim, niedość na tem: on również wygłosił kazanie koronacyjne. Formalnie zdradził Potockich, lecz wgruncie rzeczy zastosował tylko ich metody. Przecie wojewoda kijowski tego nazwiska, porywając z kolebki Stanisława Augusta, „tym sposobem chciał dowieść przywiązania swego do króla Stanisława Leszczyńskiego, chociaż skrycie zaczął był już układy z jego współzawodnikiem — Augustem III” [5]).

Co sobie obiecywał Stanisław August po Krasickim, możemy się tylko domyślać, podobnie jak możemy nie wątpić, że gdyby nie dowcip, nie wysoka kultura młodego kanonika, do przyjaźni tejby nie doszło. Przyjaźń między nimi trwać miała odtąd lata, ale nie była to ni-

---

[1]) Studja i szkice z dziejów literatury polskiej. Skreślił Piotr Chmielowski. Serja I. Kraków 1890. (VI. Charakterystyka Ignacego Krasickiego.)

[2]) Anatol Krzyżanowski: Pasierby. Warszawa 1896. (Słowo wstępne.)

[3]) Czerwińscy herbu Lubicz. Warszawa 1930.

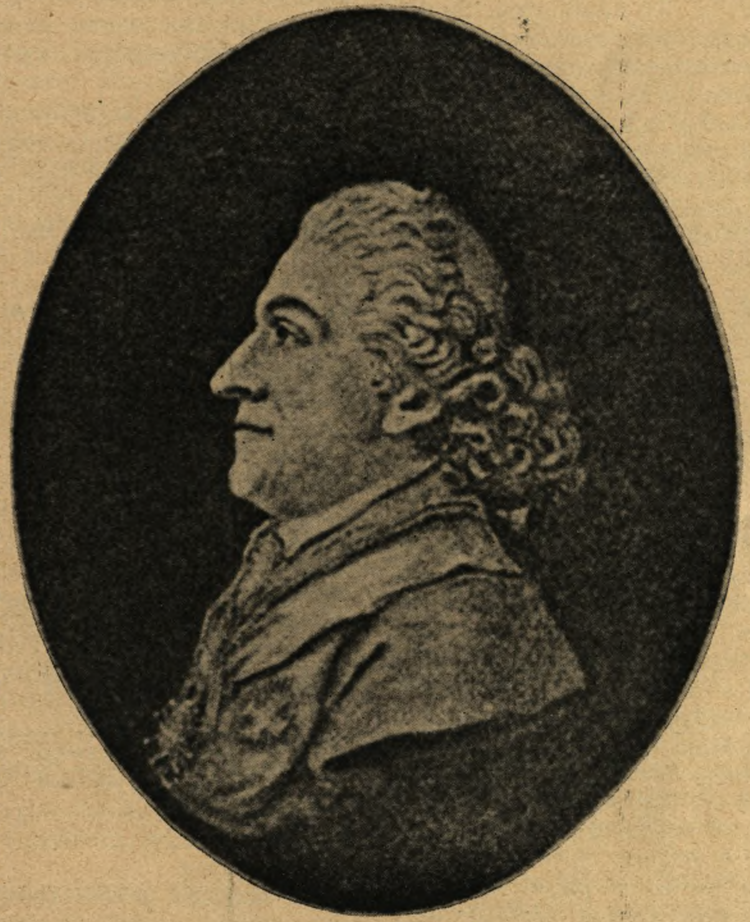
[4]) Pamiętniki króla Stanisława Augusta. Przekład polski dokonany z upoważnienia Cesarskiej Akademji Nauk w Piotrogrodzie pod redakcją d-ra Władysława Konopczyńskiego i prof. St. Ptaszyckiego. Tom I. Część I. Warszawa 1915.

[5]) Tamże.



czem niezakłócona sielanka. Chwilami dochodziło do tarć i zgrzytów całkiem nieprzyjemnych, które swój wyraz znajdywały nietylko w korespondencji króla ze starą i doświadczoną panią Geoffrin, ale przedostawały się nawet do tak, zdawałoby się, bezosobistej twórczości, jak twórczość Krasickiego.

Stosunkom z królem zawdzięczał Krasicki swą szybką karjerę. Stanisław August wyjednał mu godność biskupa-koadjutora warmijskiego, ale już 7 stycznia 1767 r. donosił pani Geoffrin nie bez zadowolenia: „Koteczek jest biskupem i senatorem w całej okazałości; jego stary umarł w oznaczonym czasie z nadeszłemi z Rzymu bullami koadjutora w ręku. Jest on teraz człowiekiem bogatym, fortunie którego przyklaskuje publiczność. Wiesz Pani, że ma on twarz piękną, a ta twarz jest zadowolona, i to ja sprawiłem! Osądź Pani, jak mi przyjemnie ją oglądać!” Równo w miesiąc potem pani Geoffrin odpisywała: „Wierzę mocno, że Koteczek jest zadowolony, a i piękniejszy niż zwykle! Bóg stwarzając ludzi, stworzył wprawdzie nieszczęśliwych! A Ty mój Królu, wyjednując mitrę dla Koteczka, zrobiłeś z niego człowieka szczęśliwszego od siebie.”



Ignacy Krasicki

Że Krasicki był szczęśliwszy od króla, to nie ulega wątpliwości. Mając lat trzydzieści jeden był nietylko biskupem i równocześnie z tego tytułu senatorem, ale zdobył jeszcze tytuł księcia, biskupstwo bowiem warmijskie było udzielnem księstwem, zależnem od Polski tylko w zakresie polityki zewnętrznej. Oczywiście za pierwszy swój obowiązek nowy biskup i senator uważał objazd po Polsce, żeby się w zaprzyjaźnionych domach pokazać w książęcym splendorze. Stanisław August spodziewał się zrobić z Krasickiego działacza politycznego — conajmniej w takim stopniu jak był w okresie przed elekcją, lecz akurat Koteczkowi chciałoby się użerać z warcholącą szlachtą! Dość miał tego dobrego w r. 1765, kiedy był prezesem trybunału małopolskiego, rezydującego do Wielkanocy w Lublinie, a potem we Lwowie. Obserwacyj i doświadczeń dostateczną zebrał liczbę, żeby sczasem malować ponure obrazy ówczesnego sądownictwa w „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach”.

„Ambicje Krasickiego nie były skromne — pisze prof. Juljusz Kleiner[6]) — ale mimo wszystko — były umiarkowane. Nie pragnął potęgi i wpływów. Chciał mieć pozycję dostojną, niezależną, wygodną. Dopóki jej nie miał, gotów był różnemi środkami starać się o nią. Raz osiągnąwszy cel, postanowił urządzić sobie życie w myśl swych upodobań. a w niemiłe wiry nie wdawać się wcale.” Stanisław August pomimo przewrażliwionego rozczarowania był dostatecznie spostrzegawczy; już 13 maja 1767 r. skarżył się pani Geoffrin: „Mam poważne obawy, żeby ten Koteczek tak miły, tak dowcipny, tak pilny, a który mi tyle zawdzięcza, nie stał się próżniakiem, który nie będzie się troszczyć o nic ani o nikogo, jak tylko o własne przyjemności i o swoje próżnowanie. Jestem rozgniewany widząc wielkie oznaki, które to zapowiadają.”

To co Krasicki zdołał do tej pory osiągnąć, było istotnie bardzo wiele. Poza godnościami jest człowiekiem zamożnym, lecz choć w r. 1767 roczny jego dochód przekroczył 400000 zł, przekroczyły go wydatki. Bo Krasicki miał szeroką naturę, żeby powiedzieć modnym dziś terminem. Lubił przepych, gromadził piękną bibljotękę, o rodzinie nie zapominał, więc nawet brnął w długi.

Zabawna jest czasami konfrontacja tego, co autor pisze i co robi. W liście wierszowanym „Do Imć Pana Lucińskiego, Podczaszego J. K. Mci”[7]) przekonywał:

Tak i napój ojczysty zbyt drogo niepłatny,
Gdy oszczędza wydatki, szacowny i zdatny...
Możnaż wino porzucić? Powabny to trunek,
Lecz takiego powabu zbyt drogi szacunek.
Niech go piją bogatsi, gustu w nim nie ganię,
Ale gdyśmy ubodzy, pijmy trunki tanie ..
Z oszczędności dostatek, z pracy się zysk wszczyna.
Pijmy skromnie miód, piwo, dojdziemy do wina.

[6]) Krasicki jako przeciwnik literatury dworskiej. (Studja staropolskie. Kraków 1928.)

[7]) Spor rymotworski między chwalcami miodu i wina, koncyljacją posrzedniczą zagodzony. Warszawa 1780.

Obok Lucińskiego w tej sprzeczce na temat napojów zabrał jeszcze głos jakiś medjator — E. M, który o obu dyskutantach daje zapewnienie:

Wiem, że pomiar zachować lubią zgodnie w trunku,
Acz się różnią w pochwałach swych co do gatunku.

Krasicki napitkiem nie gardził, ale jako prawdziwy smakosz wolał wyborne wino niż miód i piwo, zwłaszcza że wino lepiej pasowało do pasztetu ze śledzi, który na dworze biskupim w Heilsbergu „wszystkim bardzo do gustu przypadł” [8]). To zamiłowanie do wykwintu było drugim powodem obok szerokiej skali życia, który powodował wzrastanie długów. Ale o to Krasickiego głowa nie bolała. Więcej się tem przejmować musieli jego koronowani przyjaciele.

Pod względem jednania sobie przyjaciół miał Krasicki dar osobliwy. Nietyle on ich szukał, co oni mieli sobie za zaszczyt liczyć go w swem gronie. Bez poszukiwań również znajdywał obrońców: przecież on Koteczek, to wolno mu tak postępować! Taka daleka pani Geoffrin tłumaczy go przed rozżalonym królem 14 września 1767 r.: „On ma dużo rozsądku i to rozsądku bardzo pożytecznego; on kocha Waszą Królewską Wysokość i wie doskonale, co jej zawdzięcza, choć niekiedy nie czuje tego dostatecznie.” I jakby tego było zamało, zaraz parę wierszy dalej dorzuca: „Powtarzam jeszcze raz, on kocha głęboko Waszą Królewską Wysokość.”

Czy tak było istotnie, trudno dawać głowę, w każdym razie scysje między Krasickim a królem pogłębiają się, aż wreszcie 24 lutego 1774 r. ta sama pani Geoffrin, pisząc o bibljotece Załuskich, grzmi niespodziewanie: „Właśnie z okazji biskupa, proszę Waszą Królewską Wysokość, czy mi pozwoli zapytać o nowe wiadomości o biskupie warmijskim. Jest on prototypem wszystkich niewdzięczników, którzy kiedykolwiek istnieli i którzy istnieć będą zawsze.” De Mouy [9]) tłumaczy Krasickiego w przypisku do tego miejsca. „Pani Geoffrin — pisze — jest nazbyt surowa dla tego wybitnego człowieka i zdaje się, różnica zdań między nim a królem nie zasługiwała na sąd tak bezwzględny.” Tym razem trzeba powiedzieć raczej: tak, bo jednak jak wykazuje zestawienie dat, była to nietyle różnica zdań, co duży poemat, gdzie Koteczek pokazał swe pazury w całej ich długości. Zatytułowany niewinnie „Myszeis”, przedstawia walkę myszy z kotami, jednak tylko na oko jest to coś nieosobistego, naprawdę bowiem pod zwierzęce perypetje podłożył Krasicki sprawy najbardziej osobiste: załatwiał porachunki z królem. Kiedy wszystko, co w Polsce ówczesnej bawiło się piórem, czołgało się panegirykami na atłasie i na papierze u stóp tronu królewskiego, kiedy ciekły upusty rymów radosnych spowodu nieudanego zamachu na króla ze strony konfederatów barskich, Krasicki wystąpił z utworem wykpiwającym majestat króla [10]), skoro więc wieść o tem doszła do pani Geoffrin, nie mogła się na to nie oburzyć. I miała rację — większą niż De Mouy w swym przypisku. W chwilach dla Polski ciężkich „ze stanowiska politycznego Myszeida była — zdaniem prof. Kleinera — błędem. Podkopywanie powagi monarszej nie świadczyło o zrozumieniu chwili dziejowej.”

Ale czyż od Koteczka można było żądać rozumu politycznego? To raczej błąd tych, którzy tego od niego żądali, bo właściwie Krasicki — to pisarz tego samego typu co Rey — tylko Rey wzbogacony o ogładę i kulturę całych lat dwustu, który jeśli brał udział w zdarzeniach politycznych, to powodując się uczuciem raczej, nastrojami, niż rozsądkiem. Po ostrym zatargu z królem następuje zgoda, ale znowu w grę tu weszły momenty uczuciowe, bo jednak ci dwaj ludzie potrzebowali siebie nawzajem. (Pamiętać trzeba koniecznie o takcie Stanisława Augusta, że mimo tarć, jak to np było z panią Geoffrin, nie zrywał stosunków towarzyskich bezpowrotnie.) Obie strony wyniosły z zatargu zasób doświadczeń, poznały się lepiej, a korzyścią dla literatury był zgrabny poemat heroikomiczny. Te wspaniale odważone słowa, zwięzłość i precyzja w opowiadaniu budzić mogą w czytelniku dzisiejszym zachwyt niemniejszy, niż wtedy gdy w pięknym druku Michała Grölla — „Księgarza Nadwornego J. K. Mci” dochodziły do rąk oczytanej w literaturze francuskiej wykwintnisi czasów stanisławowskich.

Kiedy w r. 1780 drukował Krasicki swój „Zbiór potrzebniejszych wiadomości, porządkiem alfabetu ułożonych”, poświęcił go królowi, który w dedykacji porobił nawet drobne poprawki [11]), a na wstępie „Satyr” pomieszcza słynną satyrę wstępną „Do króla”, którą można nazwać światowem arcydziełem poezji pochwalnej. Nikt chyba nie wygłaszał pochwał w tak zgrabnej formie, bez cienia panegiryzmu i w taki przyjemny sposób!

Żeś dobry, gorszysz wszystkich, jak o tobie słyszę,
I ja się z ciebie gorszę i satyry piszę;
Bądź złym, a zaraz kładąc twe cnoty na szale,
Za to, żeś się poprawił, i ja cię pochwalę!

Tak mówi Krasicki o królu na samym końcu tego arcyutworu, który zachwycić musi każdego, kto go odczyta z chęcią.

Na imieniny w r. 1780 król przysłał Koteczkowi w upominku medal, specjalnie na jego cześć wybity, z napisem: „Musa vetat mori” [12]); 19 września 1788 r. do bratanicy Krasickiego — Anny hr. Charczewskiej tak pisze z Łazienek: „Przyjmij MPani uprzejme podziękowanie, wraz z szczerym wyrazem żądania mego, abym mógł widzieć tu obecnie MPanią wraz z godnym i zawsze kochanym ode mnie Jej Stryjaszkiem.” W tym czasie jest już Krasicki poddanym pruskim, bo Warmja po pierwszym rozbiorze przeszła do Prus, często nawet bawi na dworze Fryderyka Wilhelma II w Berlinie czy w Sans-Souci, jednak ze Stanisławem Augustem utrzymuje kontakt najżywszy. Że zdobył jego zaufanie, zawdzięczał to talentowi, który budził podziw w kulturalnym królu, zawdzięczał to przymiotom towarzyskim, które cenił nawet król pruski, miał więc najzupełniejsze prawo przed drugą połową czerwca 1781 r. [13]) pisać w poetyckim liście „Do króla”:

Nie mówię to z podchlebstwem, gardzę tym rzemiosłem;
Wiesz, panie miłościwy, iż nim nie urosłem.

Nie urósł pochlebstwem, bo był człowiekiem o dużej niezależności, bo — dlatego właśnie — „rola faworyta

---

[8]) Diarjusz z Heilsberga od r. 1790-1792. Kraków 1898.

[9]) Correspondance inédite du roi Stanislas-Auguste Poniatowski et de Madame Geoffrin (1764-1777) précédée d'une étude sur Stanislas-Auguste et Madame Geoffrin et accompagnée de nombreuses notes par M. Charles De Mouy. Paris 1875.

[10]) Oto drobne, lecz jakżeż wtedy dotkliwe przytyki z pierwszej tylko pieśni:

Trzoda nikczemna rozkosznie się pasła
Przy słodkiem brzmieniu przyjemnej muzyki.
Miedziane bramy uwieńczały róże,
A Nimf orszaki były twierdzy stróże.

Trucizną kraju są grzechy monarsze.

Cnota u dworu mało kiedy święci.

[11]) Ludwik Bernacki: Krasiciana. (Studja staropolskie. Kraków 1928.) Str: 582.

[12]) „Muza niech się przeciwstawia nałogowi.”

[13]) Ignacy Krasicki: Satyry i listy. Wydanie krytyczne Ludwika Bernackiego. Lwów 1908. Str: 43.

WSZYSCY JEDZIEMY NA WYPOCZYNEK

I znów lato, wakacje, urlop. Kilka tygodni tylko dla „siebie“, na odpoczynek po całorocznej pracy.

Wszyscy więc, bez wyjątku wypoczywamy, tylko... każdy inaczej.

Zbyt trudno byłoby mi opisać wszystkie odcienie wypoczynków, stosowanych przez „wolnych“ ludzi. Ograniczę się tylko do grona najbliższych krewnych i znajomych.

Na pierwszy plan Ciocia Sabcia.

Gdy tylko stopnieją pierwsze śniegi, wyjeżdża na wieś, oddaloną o kilkadziesiąt kilometrów od miasta i wynajmuje letnisko.

Ciocia Sabcia jest bardzo mądra życiowo i zawsze twierdzi, że im dalej od miasta, tem utrzymanie jest tańsze, powietrze lepsze, atmosfera moralna wsi polskiej zdrowsza i... wogóle. Primitywne mieszkanie w chłopskiej lepiance też nie jest pozbawione swoistego uroku.

Na dwa dni przed wyjazdem, data ta kojarzy się z zakończeniem roku szkolnego, Ciocia z pomocnicą domową Walercią biegają po całem mieszkaniu, jak błyskawice.

Garnki, talerze, sukienki, trzewiki fruwają w powietrzu, trafiając wreszcie do licznie rozstawionych po całem mieszkaniu kufrów, walizek i skrzyń.

Nadchodzi wreszcie dzień wyjazdu.

Już o godzinie 6-ej rano przed bramą na ulicy Senatorskiej 27 (adres cioci) zatrzymuje się wóz, wyłożony słomą.

Na strwożonej twarzy kmiotka maluje się wahanie, niepewność.

— Cy to tu som te letnioki, — zapytuje pana dozorcę, — co to latoć wzieni u mnie te chałupine?

— A który numer?

— 27 stoi napisane.

— Pewnikiem, że tu.

Tymczasem na pierwszem piętrze, na widok wozu powstaje gwar i wrzask.

Nikt tu dzisiaj nie jest bezczynny. Ciocia dźwiga naręcze przełożonych gazetami talerzy.

Walercia, przy pomocy dozorcy wynosi kufer, Wujcio Piotruś przeklina cały świat. Ciocia bowiem kazała znosić mu garnki i rondle, które on dla ułatwienia sobie tej czynności, wysmolonemi dnami oparł na jasnej kamizelce najnowszego garnitura. Wicio dźwiga olbrzymi kubeł. Zosia pudełko od butów z kubkami, szklankami i t. p. Mały, trzyletni Wacio z trudem dźwiga naczynie, mające tylko jedno przeznaczenie.

Stos gratów na wozie rośnie. Jeszcze na sam wierzch patefon, szczekający radośnie wilczek „Zbój“ i wóz rusza. — Ciocia z rodziną jedzie na odpoczynek — na letnisko.

* * *

W trzy miesiące po uroczystym wyjeździe cioci, wujcio Piotruś w przypływie szczerości, i w wielkiej tajemnicy wyznał, że to całe letnisko było „djabła warte“. Drogo kosztowało, nie było na czem spać, bo mimo, że „chamy“ miały dać cztery łóżka, w nędznej chałupie stały tylko dwie prycze i połamane krzesełko.

— Posiłek każde z nas jadło oddzielnie, — mówi Wujcio, — ponieważ w całem gospodarstwie został jeden talerz, jedna szklanka i t. d. — Tak się wszystko gdzieś „zawieruszyło“.

— Jestem niezmiernie szczęśliwy, że już wróciliśmy do Warszawy, nareszcie odpocznę!!!

* * *

Prawdopodobnie wskutek swego 55 lat trwającego kawalerstwa, wujcio Dyzio posiada swoistą filozofję życia, której podstawową zasadą jest unikanie kobiet. — Dlaczego? Różni różnie mówią. Ja, nie wiem.

Toteż całe życie wujcia Dyzia, odkąd zaczął mię interesować jako pewnego rodzaju studjum psychologiczne, polega na usuwaniu z drogi jego życia nawet cienia kobiety.

Dzieło swe prowadzi zawsze systematycznie i celowo.

A więc, gdy na wiosnę aktualnym staje się problem spędzania lata, wujcio Dyzio wzmaga tempo swej pracy. Pracę tę ma nieco ułatwioną, ponieważ jest lekarzem. Gdy tylko któraś z jego pacjentek zapyta, gdzie byłoby najpożyteczniej dla zdrowia spędzić lato, wujcio wymienia wszelkie możliwe pensjonaty i uzdrowiska, za wyjątkiem Bzdurkowa. Tam jechać kategorycznie zabrania, ponieważ Bzdurków rezerwuje prawie wyłącznie dla siebie.

Przed kilku dniami otrzymałam list, różowy list... od wujcia Dyzia. Nawiasem muszę wyjaśnić, że w opinji wujcia jestem wyjątkową kobietą, która potrafi czasem uczynić coś po męsku. Określenie męski jest według niego stopniem najwyższej pochwały.

„Kochana Petronelciu! (pisze). Już od trzech tygodni jestem w Bzdurkowie. Prawdziwa, szczera wieś. Czuję się tu doskonale. — W całej zagrodzie jest tylko kilka sztuk bydła, gospodarz-wdowiec i... ja.

---

królewskiego — jak trafnie to ocenia prof. Kleiner — stała się dlań psychiczną niemożliwością”. To wszystko trzeba umieć w Krasickim ocenić, nie szukać w pismach jego „wskazań dla narodu”, gdyż jest tam tylko wielki artysta, ale taki artysta, który „nie będąc ideałem, stał przecież etycznie o wiele wyżej, niż przeważna część otaczających go osobistości” (prof. Kleiner).

„Gdyby Krasicki żył w wieku XVI-tym — mądrzy się mądry Chmielowski — w wieku żywej jeszcze wiary, namiętnych sporów religijnych, byłby został znakomitym kaznodzieją, apologetą, może nawet pisałby świetne polemiczne utwory, któreby spółczesnych uwielbieniem lub oburzeniem przejmowały. Żył jednak w stuleciu XVIII.” Można wątpić, czy takby było, jak chce Chmielowski, a do wątpienia tego uprawnia jego krótkowzroczność: zapomniał, że człowiek człowiekowi nierówny, że są l u d z k i e t e m p e r a m e n t y. Bierny Koteczek musiałby się urodzić z innym charakterem, ale bez tego byłby w czasach jagiellońskich tym samym Koteczkiem, co w czasach stanisławowskich. Zbyteczne to zresztą spory, czem mógłby Krasicki być. Sens ma tylko zgłębianie, czem jest; a jest wielkością bezsporną.

Józef Marjan Chudek

Tak swojsko, we dwóch gospodarzymy sobie przez całe dnie. W nocy tylko niepokoją mnie pchły, pluskwy i zupełnie oswojone myszy, które w szczególny sposób upodobały sobie moje łóżko. Tak to zwykle, moja droga, życie ma swe cienie i światła!

W dzień zato pływam po morzu rozkoszy. Siadam np. w bróździe i zajadam rosą obmytą sałatę, piję zsiadłe mleko prosto od krowy (delicje) z ziemniaczkami, gotowanemi w łupinkach i jeszcze wiele, wiele innych tym podobnych smacznych rzeczy.

Ale, niestety, jak wiesz zapewne, szczęście jest krótkotrwałe.

Wczoraj, gospodarz oświadczył mi, że... za tydzień żeni się, „bo bez baby, to nijak w chałupie". — Przecież to oburzające! Głupi idjota! Baby mu się zachciewa! A ja... nieszczęśliwy... muszę przerwać tak idylicznie rozpoczętą kurację i wracać do Warszawy. Tu chyba dokończę urlopu!

Kochający Cię wuj Dyonizy Dyderko.

(Bzdurków w lipcu).

* * *

Kuzynka moja, Marysia, urlop swój postanowiła spędzić nadzwyczajnie przyjemnie i prawie darmo w letnim obozie jakiejś organizacji sportowo-społecznej.

— Radzę ci, — mówi do mnie, — uczynić to samo. Za mojem pośrednictwem, — dodaje protekcjonalnie, — przyjmą cię niezawodnie do organizacji i jeszcze tego lata będziesz mogła z moją drużyną wyjechać na odpoczynek.

To mówiąc, dała mi do przeczytania regulamin obozu w Durkowie.

Regulamin (drużyna żeńska).

Strojem obowiązującym jest kostjum gimnastyczny i takież pantofle. Wszystko inne surowo zabronione.

Godz. 5,30 rano pobudka.

Od 5,45—6,30 gimnastyka poranna pod kier. instruktora Michała Oddech.

Godz. 6,45 śniadanie: mleko lub herbata i razowy chleb.

Godz. 7,30 wymarsz do Pikutkowa 20 km. W Pikutkowie odpoczynek.

Godz. 11 dalszy marsz 5 km. do Głupienic, gdzie można bezpłatnie pić wodę w dowolnych ilościach ze zdrojowego źródła.

Godz. 13 p. poł. wymarsz w kierunku powrotnym.

Godz. 16 obiad: krupnik z kartofelkami i kiszką kaszana z kapustą.

Godz. 16,30—17,55 gry i sporty.

Godz. 18—19,50 rozrywki kulturalne (czytanie najświeższych gazet z przed 3 dni).

Godz. 20—20,30 gimnastyka wieczorna pod kier. instruktora Michała Oddech.

Godz. 20,35 kolacja: razowy chleb ze szperką i herbata z cytryną.

Do godz. 21,30 czas wolny dla siebie.

Godz. 21,35 odczytanie programu zajęć na dzień następny i spać. Podpisani:

(—) sekretarz, Nalewopatrz Antoni;

(—) prezes sekcji, Wyprost Bolesław.

* * *

— Dziękuję ci za taki odpoczynek, ale to nie dla mojego mdłego ducha w rozleniwionem ciele.

— Zawsze twierdzę z przekonaniem, że byłaś i jesteś stworzoną do ciężkiej artylerji — dodała z przekąsem moja miła kuzyneczka.

W trzy dni potem Marysia wyjechała. Gdy wróciła, nie poznałam jej. Schudła, zmizerniała.

Sama się przyznała, że ubyło jej 12 kilogramów, a teraz... musi rozpocząć forsowne odżywianie.

* * *

Przyjaciółce przyjaciółki mojej mamy, otyłej pani Pulcherji, lekarz zalecił kurację odchudzającą na przemianę materji w specjalnym zakładzie w okolicach Worochty, w miejscowości X.

Pewnego razu, podczas wycieczki samochodem, wskutek defektu i uszkodzenia motoru, w tej właśnie miejscowości zmuszeni byliśmy zatrzymać się dwa dni. Nie omieszkałam odwiedzić panią Pulcherję.

Powitała mnie bardzo zmęczona i zziajana. Przed chwilą właśnie wszyscy kuracjusze wrócili z leczniczego zabiegu, który polegał na przekopaniu łopatą kilkunastu metrów kwadratowych ziemi.

— A teraz może zechce pani łaskawie towarzyszyć mi przy śniadaniu, którem, niestety, nie mogę poczęstować, — rzekła z zakłopotaniem p. Pulcherja.

— Bardzo dziękuję pani, ale jestem zupełnie niegłodna.

Pani Pulcherja spojrzała na mnie dziwnie boleśnie.

W tej chwili zaczęto roznosić śniadania.

Przed panią Pulcherją i jej podobnymi grubasami ustawiano filiżanki, o niepospolicie grubych dnach, wypełnione kawą, a na talerzykach tej samej konstrukcji położono cienkie kromeczki żytniego chleba.

— Widzę, że pani ze szczególnem zainteresowaniem przygląda się naszej zastawie — rzekła pani Pulcherja.

Odpowiadam twierdząco.

— To jest właśnie jeden ze sposobów leczenia psychologiczno-zwodniczo-optyczny. Naprzykład w tej chwili mam stuprocentową pewność, że piję pełną filiżankę kawy, a w istocie jest to zaledwie dwie trzecie jej objętości.

— Więc to jest całe śniadanie? — pytam zdziwiona.

— Tak, i proszę sobie wyobrazić, że dla dobrej przemiany materji trzeba to jeść całe 45 minut. Pozostałe posiłki są tak samo skromne, toteż po całych dniach chodzę głodna, — dodała z żalem, a zwisający podbródek trząsł się jej ze wzruszenia.

Jak się później dowiedziałam, w wyniku forsownej kuracji pani Pulcherji ubyło aż 1½ kilograma. Potem była tylko ciągle dziwnie osłabiona.

* * *

Nie pojadę ani na wieś, ani na żaden obóz, ani na kurację odchudzającą. Postanawiam naprawdę celowo wykorzystać urlop i odpocząć... chyba, że zawiedzie perła naszych uzdrowisk — Krynica.

Przyjeżdżam tu po raz pierwszy i jestem zachwycona malowniczem położeniem uzdrowiska.

Wysokie, zielonemi lasami pokryte góry, skąpane w promieniach lipcowego słońca i niezmącony lazur nieba tworzą doskonały i skończony obraz bogactwa naturalnych barw i świateł przyrody.

W dolinie, płynie zwierciadlana Kryniczanka i mniej lub więcej konfortowe i luksusowe wille.

Uwagę każdego przybywającego musi zwrócić wspaniała w doborze materjału budowlanego (marmur i biały metal) i nowoczesna architektonicznie willa króla tenorów Jana Kiepury.

Nosi wzniosłe miano „Patria", a ci, którzy za drogie pieniądze zamieszkują ją, lub uczęszczają tam na dancingi — nazywają się patrjotami. (W uzdrowisku powstało nowe pojęcie narodowo-państwowe).



3 Maja w Warszawie w roku 1935

Teraz, ze szczytów gór i dachów willi zniżam swój wzrok do wysokości człowieka.

Kogokolwiek chce się, czy nie chce widzieć, spotyka się na deptaku lub w pijalni wód.

Przy źródle Zubera gromadzi się 90% elity krynickiej.

A więc państwo Moniek i Sura Rappaport, państwo Jojne i Małka Szapiro, państwo Szyja i Rojza Grünblatt i wiele, wiele innych rozkosznie rozwrzeszczanych par. Każda z obecnych tu dam występuje w białym, srebrnym, niebieskim, pojedyńczym lub podwójnym lisie, mimo, że panuje okropny upał. — „Teraz, albo nigdy, pokażę, co mam“.

W południowem słońcu błyszczą wieczorowe tualety. Warszawskie Nalewki, łódzka i katowicka mniejszość narodowa, a większość przemysłowa nadaje ton kuracji.

Na mojej skromnej, płóciennej sukience zatrzymuje się niejedno pogardliwe spojrzenie.

— Popatrz, Reguchna, — szepcze opasły Moryc do swej korpulentnej towarzyszki, te perkalikowe nędze pcha sze do nasiej krynickiej „jelity“. Co za depopularyzacja, demoralizacja i wogóle jeszcze cosi... czy nie przypominasz sobie, moja tyś słodka żoneczko?

Krynica powoli zatraca dla mnie swój urok. Ten okropny, specyficznie żydowski charmider i im tylko właściwe niekulturalne zachowanie się skandaliczne.

Postanawiam wkrótce wyjechać, aby dalej być od tej... perły.

Na okazję wyjazdu nie czekam długo. Jakieś Towarzystwo krajoznawcze organizuje wycieczkę do Szczawnicy... więc szybko zapisuje się i nazajutrz już o 7-ej rano jestem na przystanku autobusowym.

W autokarze, którym mamy jechać, siedzi kilka pań szczelnie owiniętych w karakuły i nurki. Instynkt nie zawodzi.

W lipcu nosić futra odpowiednie na 20-stopniowy mróz może tylko pani Rappaport et compagnie.

Teraz oceniam ciepłotę swego letniego płaszcza i zajmuję swoje miejsce.

Na trzynaście osób, uczestniczących w wycieczce, szofer, przewodnik, jakiś adwokat i ja jesteśmy nie semitami.

Ruszamy. W porannej mgle roztacza się przed nami piękno gór: niższych, wyższych i znów niższych, wreszcie pozostaje tylko wyżyna.

Później Stary Sącz, Nowy Sącz, Krościenko z cudowną panoramą Pienin, Grunwald i Czorsztyn z historycznym zamkiem.

Z Czorsztyna Dunajcem popłyniemy do Szczawnicy.

Na przystani łodzi cygańska kapela wygrywa z zapałem ognistego czardasza.

Obok, w rozsypce stoi nowe towarzystwo żydowskie. W pewnej chwili cyganie przestają grać i następuje zmiana ról. Instrumenty muzyczne przechodzą do rąk żydowskich, kapelusze na głowy i oto przed objektywem aparatu fotograficznego stoi mieszano semicka, wyjątkowo bezwdzięczna kapela, w pretensjonalnych pozach i o melancholijnem spojrzeniu.

— Teraz prosie przijemny wiraz oblicza! Panno Różu, łzawem okiem — patrzeć w niebo! — Panno Guciu, zmięknąć na zaloty Mońka! — Uśmiech! — Reśta patrzeć w dżurkie! Licze, raz... dwa.. Dawid Kuperfarb — teraz nie całować... trzy... Już. Dziękuję.

W tej chwili całe towarzystwo wycieczkowe zajmuje swoje miejsca w łodziach żłobionych z drewnianych bali i łączonych ze sobą po dwie, trzy, cztery lub pięć w kształcie tratew.

Płyniemy Dunajcem. Uroczystą ciszę gór mąci łagodny plusk wioseł. Pogoda piękna, słoneczna, — niebo bez chmur.

Mijamy już dumną Sokolicę i Trzy korony. Ciągle trwamy w milczącym zachwycie, bo naprawdę trudno jest w wiernych słowach odtworzyć piękno Pienin. Można na nie tylko patrzeć, patrzeć i całem jestestwem chłonąć ich nieprzeparty czar i urok.

Wtem, nagle, z płynącej przed nami łodzi, gdzie siedziały roznegliżowane panie: Małki, Rywki i Sury rozlega się piskliwie śpiewana po rosyjsku pieśń: „Wołga, Wołga, mat' radnaja, Wołga ruskaja rieka“...

Czar pryska. Na usta ciśnie się najsoczystsze warszawskie przekleństwo.

Więc do tego doszło, że na polskim Dunajcu śpiewa się rosyjską pieśń.

Przecież to oburzające!

Zbliżamy się do ciągnącego się wzdłuż Dunajca parku szczawnickiego.

Obskurni chałaciarze z rabinem pośrodku „szwendają“ się tu całemi gromadami po dziesięciu, dwunastu, trzynastu. Na „wilegjaturze“ wdychają „mahoniane“ powietrze.

Góry aż drżą od szwargotu tej „czarnej giełdy“.

Z żalem zaczynam myśleć o Krynicy. Tam byli chociaż bogaci Żydzi, trochę cywilizowani, a tu... lisie czapy, chałaty, krymki, cycełesy, białe pończochy i cebula.

Po jednym dniu pobytu postanawiam stąd uciekać.

Ale gdzie? W której stronie kraju jest jakiś cichy zakątek?

Przypominam sobie, że gdzieś w Kieleckiem w Świętokrzyskich Górach znajduje się jakaś miejscowość cicha i ładna pod nazwą Lesistej Góry.

Na dworcu sprawdzam autentyczność jej istnienia i już bez żadnych wątpliwości kupuję bilet do Lesistej Góry.

Po południu wysiadam na maleńkiej stacyjce. Oprócz jakiegoś drapichrusta niema tu żywego ducha. Chwilę stoję bezradnie, nie wiedząc, w którą udać się stronę.

Przygodny informator zapytuje:

— Czy pani na „letniaki“?

— Tak, czy jest tu jakiś pensjonat?

— Pensjonaty to tu som, tylko jaki pani chciała, polski czy zydoski?

— A więc i tu są żydowskie?

— Wszystkie som zydoskie, ale dwa som polskie, jeden zamknięty, a drugi o tu... niedaleko!

Wyboru nie mam, więc idę.

Otyła jejmość wita mnie uprzejmie i zachwala swój doskonały „pansjonat“ i „obszerne żarcie“.

Nie oglądając jeszcze pokoju, targuję się o cenę. Po długich targach pani Walentyna Pryszcz (nazwisko właścicielki) z ośmiu złotych dziennie ustępuje mi na sześć.

Teraz prowadzi mnie do „pokoju“. Patrzę zdumiona. Przecież to parodja ludzkiego mieszkania. Na czterech słupkach ułożone na krzyż deski, a na nich słomiany siennik i okropnie podarta maleńka poduszeczka.

— A pleda to nima — może sie pani okryć paltem, albo i wcale nie, bo jest ciepło.

Zamiast szafy w rogu izdebki dwie deski, z których jedna ruchoma spełnia rolę szafy.

Znów z wyrzutem spoglądam na gospodynię.

BANKIERZY STANISŁAWOWSCY

Polacy byli od wieków rolnikami lub żołnierzami. Gospodarując na wsi, lub walcząc w polu, nie mieli możności nabywać rutyny kupieckiej.

Miasta nasze zamieszkane były przez żywioł obcy, przeważnie Niemców i Żydów, w niewielkim procencie przez Polaków.

Przez długie lata obcy przybysze dominowali w spisach ludności miejskiej.

Ci obcy w swe przedsiębiorcze dłonie ujęli handel polski, dzierżąc go długi czas.

Szlachcic tracił klejnot i szlachectwo, jeśli brał się do „łokcia".

W czasie panowania Stanisława-Augusta, w którym, mimo „bied" politycznych, rozwinęły się nauki wszelkie, handel i przemysł, który król bardzo popierał, zwiększył się i obrót pieniężny — siłą rzeczy wynurzyła się potrzeba już nietylko domów handlowych — ale i banków.

Mieszczanie miejscowi niezawsze mieli dość pieniędzy i energji, by móc stworzyć bank. Szlachta zrazu bała się tracić swe prawa. I znów na niezaradności naszej skorzystali ludzie obcego pochodzenia, jak: Blank, Kabryt, Szulc, wreszcie przybyły z Torunia Tepper i wielu innych. Oni to pierwsi założyli w stolicy banki, domy wymiany, kantory. Oni robili najrozmaitsze operacje bankowe, zarabiając przez długi czas grube sumy.

Pierwszym bankierem Polakiem był Prot Potocki, starosta guzowski, którego bank cieszył się zaufaniem wśród szlachty i sfer przemysłowych.

Potocki, energiczny, sprytny i przedsiębiorczy, nie ograniczył się do banku. Uprzemysławiał swe majątki, prowadził handel towarami, stworzył 3 domy kupieckie w Warszawie, Chersoniu i Machnówce.

Nie poprzestawał i na tem pan starosta guzowski, nauczony przez cudzoziemców, zaczął sam kształcić polską młodzież szlachecką w naukach handlowych i zachęcał do pracy w bankowości.

Pozatem, że był bankierem, handlowcem, pedagogiem, ekonomistą, zajmował się kupnem i zapośredniczaniem majątków i domów.

Przez długie lata rosła fortuna Potockiego, a za jego przykładem szli inni Polacy. On był pierwszym, który zrobił wyłom w dawnym przesądzie, a powiększając majątek, szlachectwa nie stracił!

Bankierzy bogacili się w Polsce niebywale, kupowali ciągle nowe posesje. Jedni wykupywali posiadłości szlacheckie w obrębie miasta będące, i tam się budowali, zaprowadzając swój „zachodni" porządek, drudzy rozsiadali się na t. zw. Faworach (gdzie dziś Żoliborz), budując stylowe domki, tonące w ogródkach, pełnych róż. Prowadzili życie arcywystawne.

A jak bogacili się w Polsce, niech świadczą te fakty, że niektórzy posyłali bieliznę do prania zagranicę, inni dla żon swych, rozpieszczonych modniś, kazali robić kolaski, które zaopatrzone były w specjalne piszczałki i fleciki, grające melodje w czasie jazdy powozu. Wielu z nich tworzyło wokół swych posiadłości strzyżone francuskie parki, lub budowało kamienice o kilkunastu oknach frontu, luksusowo wykończone. A jak się stroili, jaką nosili biżuterję i urządzali przyjęcia, o tem pisać nie trzeba.

Nadchodzą jednak lata 1793—1794, stworzone przez faworyzowanych cudzoziemców banki powoli padają, bankructwo rośnie z dnia na dzień, przepadają polskie lokaty, złożone z zaufaniem. Wielu ludzi nagle popada w nędzę. Kończą się wystawne parady i grające kolaski, wszechwładnych panów bankierów.

Ale, cogorsza, pada i nasz pierwszy polski bankier starosta guzowski, i on zarywa ludzi.

Nie pomagają wiele różne komisje rządowe i spóźnione areszty i dochodzenia.

Robi się panika wśród właścicieli powierzonych wkładów.

Wali się powoli gmach Rzeczypospolitej, zwaliły się żerujące dotychczas banki. Do historji przejdą już tylko niektóre nazwiska owych stanisławowskich bankierów i w archiwum pozostaną pierwsze „bankowe" foljały i nazwy niektórych domów.

Powoli zresztą zatrą się i nazwiska tak licznej plejady pierwszych bankierów warszawskich.

W sercu stolicy zostanie opustoszały, zabrany potem przez rząd pałac bankiera Blanka (u zbiegu Senatorskiej i pl. Teatralnego), który w naszych czasach, po odrestaurowaniu, ma się stać oficjalną siedzibą prezydenta Syreniego Grodu. **Jerzy W. Helbich.**

— To prosze pani jest wspaniała rzecz. Kiedy przyszed tu komornik i opisał aliganckie z wyglądu szafy, a potem chcieli ich zabierać, to co oderwią deskie, to się wali, no i naturalnie znakiem tego nie wzieli. — Dobre, co? He... he... he...

— Tak, doskonale... ale... co to jest? — zapytuję, wskazując ruchome, czarne punkciki nad „łóżkiem".

— A co ma być? Zwyczajne pluskwy.

— Tu pluskwy?

— A coby paniusia chciała, żeby byli nie tu? Tu sie śpi i tu musowo muszą być.

Zmęczona podróżą nie miałam dość siły, aby natychmiast wracać do Warszawy. Postanowiłam wyjazd odłożyć do jutra. Teraz po ochlapaniu się wodą w potłuczonej miednicy schodzę do „sali jadalnej" na kolację.

O zgrozo! Przy długim stole raz... dwa... trzy... dziesięcioro żydów i żydówek.

Wtem słyszę słowa:

— Ja, panno Jadziu, prosie herbate nakrapianą mlekiem.

— A ja, rzodkiewki z cebulką, woła inny głos.

Odwracam głowę, rozglądam się po „sali".

Na przeciwległej ścianie wisi portret „obfitego ciała" właścicielki pensjonatu, a po obu stronach drewniane płaskorzeźby, z których jedna przedstawia podobno Marszałka Piłsudskiego, a druga „jakieś inne, sławne osobe", jak twierdzi pani Walentyna, ale nie wie kogo.

Ja również nie mogę się domyśleć.

Na prawo od tej grupy w szczerniałej ramie jeszcze bardziej artystyczny lanszaft. W trawiasto-zielonem morzu płynie syrena, wystawiwszy na powierzchnię wody rudy, lisi ogon! Z obrzydzeniem przenoszę wzrok na talerz. Powonienie drażni podejrzanej świeżości mięso. Wypijam więc tylko herbatę i idę spać.

Czarne, ruchliwe towarzyszki niepokoją mię przez całą noc.

Wreszcie świta upragniony poranek!

Dziękuję za „miłą" gościnę i wracam do Warszawy.

Mimo hałasów ulicznych... może tu dopiero i ja odpocznę? **Izabella Hentzlówna.**

OSTATNI DZIEŃ W MUNDURKU SZKOLNYM

Dziś już z pewnej perspektywy czasu, z nutą smutku wpominam ten dzień, niezapomniany w mojem życiu, dzień matury, dzień, który już nigdy nie wróci.

Oczekiwany był z jakąś radosną trwogą, a zarazem przeświadczeniem, że za jego progiem rozpocznie się nowe życie, życie bujne, barwne, nieznane.

Zdawało się, że zdobycie matury otworzy nam jakieś nowe horyzonty świata!

Ale, to się tylko... zdawało.

* * *

Na kilka tygodni przed zakończeniem lekcyj byłyśmy bardzo zmęczone i zdenerwowane oczekiwaniem na to, co miało niebawem nadejść. Wszystko wydawało nam się okropne i złe, a sam egzamin był okrutną złośliwością, stworzoną do gnębienia nas wtedy, gdy czarodziejska wiosna brała w posiadanie całą naturę, a my, musiałyśmy długie godziny ślęczeć nad książkami.

Po sesji, kwalifikującej nas, nastąpiły egzaminy, poprzedzone pielgrzymką na Jasną Górę. Wróciłyśmy stamtąd pokrzepione gorącą wiarą, że przy pomocy Boga, pomyślnie przekroczymy Rubikon, dzielący szkołę i nowe życie.

Egzaminy piśmienne naogół wypadły pomyślnie. Z wyjątkiem trzech koleżanek, cała nasza gromadka została dopuszczona do egzaminów ustnych.

Podzielone na grupy, w każdej po cztery maturzystki, kolejno, w oznaczonych dniach, miałyśmy „olśniewać“ profesorów nagromadzonym pośpiesznie zapasem wiadomości.

Nadszedł już wreszcie dzień ostateczny. Na pół godziny przed rozpoczęciem egzaminu blade cienie snuły się po pustych salach szkolnych. Brakowało tylko jednej koleżanki.

Już dawno zegar wybił dziewiątą i delegat przyszedł, a Reny jeszcze nie było.

Poważnie zaniepokojone nieobecnością koleżanki, telefonujemy do domu — otrzymujemy odpowiedź: „Rena wyszła z domu przed ósmą“.

Wiadomość ta podziałała na nas, jak iskra elektryczna. W wyobraźni zaczynają się snuć różnorodne domysły, nie wyłączające wstrząsającej, ponurej tragedji. Spoglądamy po sobie z niepokojem, ale żadna nie śmie głośno wyrazić swej obawy.

Nagle dzwonek. Do przedpokoju wpada jakaś osóbka. Pośpiesznie zdejmuje płaszczyk, beret i biegnie ku nam, wołając wesoło:

— Dzieńdobry! Jak się macie? Czy „męczydusze“ już w zupełnym komplecie?

Nie odpowiadamy na żadne pytanie — ze zdumienia zaniemówiłyśmy. Widzimy przed sobą niby Renę, ale zupełnie niepodobną do tej bladej, mizernej pensjonarki, w popielatym mundurku i czarnym fartuszku. Blond włosy, świeżo ufryzowane, policzki uróżowane, brwi i rzęsy przyciemnione — zupełnie nie ta sama, prawie piękna już kobieta.

— No, czemu znów tak zbaraniałyście? — dodała po chwili. — Spóźniłam się trochę, ale to nie moja wina. W tej kalotechnice tak przeraźliwie wolno poprawiają braki natury, że już byłam blisko ucieczki z fotelu fryzjerskiego. — Słowa te wyrzuciła z siebie prawie z oburzeniem.

— Ale, Reno, — pozwoliłam sobie na uwagę, — to poprostu nie wypada tak wejść na egzamin.

— Głupia, smarkata jesteś — odpowiedziała z powagą doświadczonej osoby — zapamiętaj sobie, że kobiecie być piękniejszą nigdy nie zaszkodzi.

Nie mogłyśmy już dłużej dyskutować na ten temat, bo właśnie Renę wezwano na pierwszy ogień. Z czarującym uśmiechem weszła na salę.

Minuty wloką się przeraźliwie długo. Zegar wybił jeden kwadrans, pół godziny, trzy kwadranse. Zaczynam powtarzać wszystkie przedmioty po kolei, ciągle jedno i to samo od początku do końca: łacina, historja, matematyka. Co kilka minut z ust moich wychodzą słabo artykułowane dźwięki, składające się na zdanie np. tej treści: quo, quo scelesti ruiti vitio zapytał Sobieski, gdy dopędził Turków pod Parkanami, zdobywając wspólnie z Zagłobą zieloną chorągiew Proroka. Po tej klęsce Mickiewicz zorganizował Legjon...

Nagle otwierają się drzwi i z sali egzaminacyjnej wychodzi zadowolona z siebie Rena.

Biegniemy do niej. Zasypujemy nawałem pytań:

— Powiedz o co pyta? Jak? Dobry? Zły?

— Ależ uspokójcie się, gęsi szalone, powoli, pomału wszystko opowiem.

— Mów prędzej, bo zaraz którą z nas poproszą i...

— Jak poproszą, to pójdzie i będzie odpowiadać.

Spokój Reny zaczyna mnie coraz bardziej drażnić.

Tymczasem proszą już nową ofiarę — Wandzię.

Teraz Rena, przegryzając bułkę z szynką, zaczęła opowiadanie:

„A więc, wchodząc na salę, czułam odrazu, że robię wrażenie. Cisza była, jakby makiem zasiał.

Czekam jedną chwilę, drugą, wreszcie podnoszę „*firanki moich rzęs*“ i spuszczam je natychmiast, aby zakryć niemi igrający uśmiech w kącikach ust. Delegat, mówiąc plastycznie, patrzył na mnie jak poczciwy kmiotek w samolot, przełożona bladła i ponsowiała, a Kiewicz-Pasz z pięć minut patrzał na mnie, zanim się zdobył na artystyczne pytanie — czy wazy etruskie były malowane?

Później prowadziliśmy bardzo ogólną rozmowę o charakterze towarzyskim. Zastanawialiśmy się nad tem, jakie wynikłyby następstwa polityczne, gdyby Napoleon umarł na Maderze zamiast na wyspie św. Heleny i zamiast syna posiadał dwie córki. Albo jakie znaczenie miały wszystkie wyprawy do Egiptu na przestrzeni czasu od narodzenia Chrystusa aż do chwili obecnej. Pozatem banalna rozmówka o literaturze. Szyszko-Władysławski w pewnym momencie był tak wzruszony, że aż warga zaczęła mu drżeć, gdy powiedziałam kilka słów o gorącej miłości Mickiewicza do Beatryczy. To widocznie nasunęło mu jakieś wspomnienia romantyczne. A na zakończenie wszyscy zaczęliśmy się śmiać wraz z delegatem, gdy Nerwer zapytał z fizyki, czy nie wiem, w jakich okolicznościach Marconi uczynił swój wynalazek? Oczywiście, panie profesorze, ktoby nie znał owej historyjki o jego skoku z wanny i biegu dookoła Rzymu z gromkim okrzykiem: odkryłem, odkryłem. Wprawdzie to trochę zakrawało na obrazę moralności, ale...“

Nie dosłyszałam końca zdania Reny, bo w tej chwili wyszła przełożona, prosząc mnie.

— In nomine Patris et Filii et Spiritui sancti. — W chwilach nerwowego podniecenia zawsze myślę po łacinie.

Wchodzę. Przełożona przypomina, żebym nie zapomniała się ukłonić. Uwaga ta wprowadza mnie w doskonały humor. Na zaproszenie delegata, żebym usiadła, resztki strachu gdzieś znikły i opanowałam się zupełnie.

— Może zaczniemy od łaciny, panie profesorze — mówi delegat.

— Bardzo chętnie.

— Zechce więc pani powiedzieć o budowie heksametrów i jambów.

Przez kilka minut mówię o kunsztownem składaniu rymów. Cytuję Wergiljusza, in nova fert animus, Horacego: beatus ille qui procul... i t. d. i t. d. Doskonale. Potem tłumaczę jeszcze Liwjusza, trochę gramatyki i łacina skończona.

Teraz skolei matematyka — moja Achillesowa pięta.

Ale jakoś rozwiązuję zadanie z dwiema niewiadomemi, rysuję przebieg sinusów w kole, jeszcze kilka pytań ogólnych i matematyka również skończona.

Nakoniec została historja.

Prof. Kiewicz-Pasz, znając mój wstręt do tematów suchych i analitycznych, chwilę się zastanawia, wreszcie z uśmiechem mówi:

— Może zechce pani ładnie nam opowiedzieć o wojnach perskich?

Uświadamiając sobie treść pytania, czuję, że krew z głowy spływa do nóg i spowrotem.

— Mehercule! Di me adiuvate! — wzywam na pomoc greckich bogów.

Ale to nic nie pomaga. Tego właśnie nie umiem, bowiem książka moja, będąc używana przez kilka pokoleń, później od innych zaczynała swe dzieje i wcześniej kończyła.

Z mroków chaosu myśli wysuwają się nazwiska: Militiades, Leonidas, Termopile, Maraton, Efjaltes.

Przypominam sobie treść „grobu Agamemnona" Słowackiego.

Jeszcze chwilę myślę, milczę i wreszcie zaczynam. W barwnych słowach przedstawiam obraz Sparty. Podziwiam waleczność Militiadesa, wzruszam się bohaterstwem i poświęceniem Leonidasa i w myśli dekoruję go krzyżem „virtuti", potępiam niegodną zdradę Efialtesa i wreszcie potok wymowy, nieprzerywany przez nikogo, kończę słowami: wdzięczny naród bohaterom swoim wystawił pomnik z napisem: „Przechodniu, powiedz Sparcie, że tu leżymy jej syny, prawom do ostatniej posłuszni godziny".

W odpowiednim momencie przypomniałam sobie wierszyk, którego nauczyłam się, będąc jeszcze w IV klasie.

Sądząc z miny delegata, można było przypuszczać, że słucha z zainteresowaniem, profesor uśmiecha się i zaczyna już drugie pytanie słowami: „...jak zgrzyt żelaza po szkle przejął wszystkich dreszczem i wesołość pomieszał z przeczuciem złowieszczem"...

Znając dobrze ten dział historji, odpowiadam pewnie i rzeczowo.

— A teraz proszę powiedzieć, których królów polskich zaliczy pani do tragicznych i dlaczego?

Nie zastanawiam się długo. W pierwszym rzędzie wymieniam Jana Kazimierza, którego inicjały I. K. R. tłumaczono złośliwie initium calamitatis regni, dalej następuje potop szwedzki i t. d. i t. d.

— Może pani przypomina sobie jeszcze jednego króla tragicznego?

Nieopatrznie wyrywa mnie się zdanie: Jan III Sobieski.

Profesor potwierdza — dobrze.

Teraz wysilam się na uzasadnienie tragizmu zwycięskiego monarchy. Myślę i zastanawiam się. Przecież Wilanowa nikt jeszcze nie miał zamiaru sprzedawać (nie miał więc kłopotów natury finansowej), w miłości też miał powodzenie, Turków zwyciężył, więc czego mu brakowało?

Prawie zupełnie podświadomie przeprowadzam analogję polskiego monarchy do Ludwika XIV, który w tej dobie we Francji dokonywał wielkiego dzieła reformatorskiego przy współudziale narodu. A Sobieski? Sobieski był bezsilny wobec szlachty, broniącej swej złotej wolności.

W tej chwili otwiera się przede mną wdzięczne pole do ciskania gromów potępienia na szlachtę, przywiązaną ślepo do swych splendorów szlacheckich, zasklepiającą się w ciasnych ramach interesów osobistych, bez żadnych szerszych horyzontów myśli.

A król pełen zapału, ożywiony nowatorskiemi prądami Zachodu, choć chciał państwo pchnąć na nowe tory, okazał się bezsilnym wobec przemocy szlachty.

Toteż, gdy na kilka dni przed śmiercią króla kanclerz zwrócił się doń z prośbą: „królu, jako testament dla narodu, zostaw wezwanie, by wreszcie poprowadził dzieło skutecznych reform", król odpowiedział: „nie słuchali mnie za życia, czyż będą słuchać po śmierci?" Te słowa wypowiedziałam z bólem cierpiącego monarchy.

Nastąpiła chwila ciszy, poczem delegat słodko zapytuje: — jakich spraw w Polsce nie rozwiązał traktat ryski?

Pytanie to, zadane po wzruszających słowach Sobieskiego, wydało mnie się poprostu profanacją.

Rzucam urywane słowa: Śląsk... Mazury... i...

Salę zalega przykre milczenie Pytająco-błagalnym wzrokiem wodzę po wszystkich twarzach. — Naprzeciwko siedzą same sfinksy i milczą.

Ale przy końcu stołu siedzi nasza Francuzka m-elle Rouge-Verte i w chwili, gdy nasz wzrok się spotkał, zaczęła białka oczu wywracać do góry, patrząc jednocześnie na mapę. Musiała kilkakrotnie powtórzyć ten manewr, zanim zorjentowałam się, że chodzi tu o leżący w górze mapy.. Gdańsk. Dobrze. Dziękuję.

Teraz profesor wyraził życzenie zapytania mnie o coś z Polski współczesnej. Odetchnęłam z ulgą, ponieważ to wszystko umiałam doskonale z dokładnością do 10 kilogramów wywożonych do Anglji bekonów. Ale nie danem mnie było raz jeszcze olśnić wdzięcznych słuchaczy swemi wiadomościami.

Delegat powiedział krótko: — to wystarczy i podniósł się od stołu, składając mnie gratulacje.

W ślad za nim pozostałe grono nauczycielskie uczyniło to samo.

W tej chwili doznawałam wiele różnorodnych uczuć. Łzy cisnęły się uparcie do oczu i opanowywało mnie wzruszenie. Szybko wychodzę z sali, zamykając drzwi na klamkę.

Teraz dopiero uświadomiłam sobie, że ta zapadająca klamka zawierała w sobie symbol. Zamknęła jedną wielką kartę mojego życia i kto wie, czy nie najszczęśliwszą, w swej nieświadomości i złudzeniach świata.

Otwierała się nowa, jeszcze niezapisana, nieznana.

I. H.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

TAK MI SIĘ PRZYKRZY!

Miasta w tym czasie poniekąd emigrują. Kto może, wyjeżdża na wypoczynek letni na wieś — odetchnąć świeżem powietrzem, nacieszyć oczy i duszę pięknem przyrody, zetknąć się bezpośrednio z dziełami Artysty artystów — Boga.

Najcudowniejsze bowiem muzea, pełne tworów Najwyższego, znajdują się w świecie gór, lasów i jezior, a najwspanialsza panorama otwiera się pod błękitami niebios. Nie dziw, że ciągną ku nim wiek za wiekiem wędrowne rzesze pielgrzymów.

Wkrótce jednak po przybyciu na wieś, umysłom i sercom, przyzwyczajonym do ruchliwego trybu życia, poczyna się wieś nie podobać. Dają się słyszeć narzekania:

— Przechwalona ta wieś. Ładnie, bo ładnie, cisza, spokój, aż w uszach dzwoni, ale przytem — nuda! Tak mi się już przykrzy! Coprędzej wracam do miasta. Przyjechać na wieś na dzień, dwa, trzy, na tydzień, to jeszcze rozumiem. Ale mieszkać tu stale, — za żadne skarby świata!

I zdawać się może wielu, że naprawdę warunki życia poza miastem nowoczesnem, to nic innego, tylko nuda i uprzykrzenie, że tylko życie w mieście jest życiem godnem człowieka. Kto porzuca miasto, wyprowadza się na wieś, ten się wyzuwa z człowieczeństwa, a przynajmniej z „inteligencji".

Tak też istotnie sądzi „przeciętna inteligencja". I stąd w świecie współczesnym tak silnie zaznacza się we wszystkich państwach niezdrowy prąd urbanistyki — ucieczka ludności wiejskiej do miast. I stąd w pewnych porach roku, tu i tam po wsiach, brak rąk do pracy, podczas gdy miasta przeludnione są rzeszami bezrobotnych. I dumają mężowie stanu nad sposobami przekonania ludzi, że do normalnego rozwoju społeczeństw, do ich równowagi, potrzeba i miast i wsi...

Skoro zatem wieś w ogólnej gospodarce jest konieczna, i pewien większy procent inteligencji stale na wsi zamieszkałej jest bardzo pożądany, to co zrobić z uprzykrzeniem? Jak ze wsi wypędzić nudę?

Ulegają złudzeniu wszyscy ci, którzy sądzą, że tylko na wsi rezyduje nuda, mieszka uprzykrzenie. Nie brak i po miastach tej tandety duchowej, lichego towaru współczesnej umysłowości. Współczesnej, mówię, boć do początków ubiegłego wieku nie znano na świecie miast-kolosów i olbrzymi procent inteligencji mieszkał właśnie na wsi. I jakoś sobie radzili. Nie nudzili się tak rozpaczliwie, jak ludzie naszej epoki, i pozostawili nam po sobie bardzo cenne zdobycze. Nie mówiąc już o pustelnikach, którzy potrafili dziesiątki lat spędzić na puszczy i nie nudzić się wcale, byli filozofowie, co nawoływali swoich współczesnych do powrotu „na łono natury"... (Rousseau).

Jeżeli wówczas takie hasło miało swą rację bytu, tembardziej posiada swoją wagę dziś i żadnemu inteligentowi nie przyniesie szkody. Należy tylko nudę i uprzykrzenie wygnać z dusz ludzkich hen, poza obręb kuli ziemskiej.

Czem jest bowiem nuda? Kiedy z ust padają słowa:

— Tak mi się przykrzy?

Nuda jest to uczucie pustki w duszy. (Z. Krasiński). Jeśli to uczucie powtórzy się raz, dwa, dziesięć razy, wtedy wywołuje w duszy ból, przykrość — uprzykrzenie. Jakiś ucisk duchowy, mękę myśli i serca.

A skąd powstaje w głowach i sercach naszych „inteligentów" pustka? Przecież jeśli które pokolenie to nasze powinnoby stanowczo mieć głowy nietylko pełne, ale wprost opchane mądrością, wiedzą, samopoczuciem siły, sprawności, tężyzny pod każdym względem. Tymczasem na każdym prawie kroku — nudzi się, przykrzy mu się w życiu. Skąd to pochodzi?

Mam wrażenie, że dzisiejsi ludzie podobni są do studni, w której nie bije źródło na dnie, i niema wody źródlanej. Jest tylko licha, od czasu do czasu spadająca — deszczówka. Dzień, dwa, po deszczu można tam naczerpnąć mętnej, brudnej wody, ale po tygodniu już ani kropli niema. Woda wysycha i w studni — pustka. Gdyby studnia mogła odczuwać swój stan, toby się nudziła, a po niejakim czasie opanowałoby ją uprzykrzenie.

Tak się dzieje z duszami. Na ich najgłębszem dnie nie bije źródło wieczne wody żywej, jak Chrystus nazwał wiarę w Boga. Tylko od czasu do czasu pada do ich wnętrza jakiś deszcz przelotny. Trochę wody wrażeń z tej ziemi, chwilowych, zaraz wysychających. Wrażeń wzrokowych, słuchowych, ruchowych, zaczerpniętych na ulicy, w kinie, w rozmowie z przygodnymi towarzyszami pracy, czy rozrywek. A ponieważ miasta, zwłaszcza większe, pełne są ludzi, pełne takich chmurek różnorodnych z deszczykami wrażeń dla człowieka, stąd sporo zwykle deszczówki zbiera się codzień w tej studzience głowy i serca ludzkiego. Jakkolwiekbądź, jest to jednak woda mętna, czasem nawet brudna, i niepodobna rozkoszować się nią. W braku wody źródlanej, czystej, świeżej, krystalicznej, serca ludzkie i umysły muszą się zadowolić i takiem napojem, ale tęsknią wiecznie za czemś doskonalszem. Łakną i pragną wody żywej, źródła o trwaniu i smaku wiecznym. Tylko nie chcą, czy nie umieją odnaleźć go dla siebie. I zamiast po wodę żywą, sięgają po nową falę zwykłej, doczesnej, lichej deszczówki.

W rezultacie mają pełnię, a równocześnie pustkę. Tę pustkę odczuwają stale. Jak przewodu pokarmowego nikt nie zaspokoi górą piasku, tak i duszy, serca ludzkiego nie można oszukać. One tęsknią i tęsknić będą do źródła wody żywej. A zbywane byle czem — w mieście czy na wsi — powiedzą niezmiennie:

— Pustka jest we mnie. Nudzę się. Tak mi się przykrzy bez wiecznych wartości duchowych, bez Boga!

Jan Czar.

LUDOWA SZTUKA ROSYJSKA

W rosyjskiej sztuce skrzyżowały się oddawna najrozmaitsze prądy artystyczne, bardziej liczne niż gdziekolwiek indziej w Europie, bo zarówno idące od południa z Bizancjum, jak od łacińskiego Zachodu, a wreszcie ze Wschodu bliższego i dalszego.

Ogromna „dzierżawa rosyjska", sama w swym obrębie zawierająca wszystkie niemal klimaty a przynajmniej sąsiadująca z niemi, mająca przytem u swych granic szereg najstarszych cywilizacyj z natury rzeczy musiała stać się terenem najrozmaitszych fluktuacyj, również i w dziedzinie sztuki, w których przeróżne tradycje i style walczyły o swe miejsce w panteonie sztuki i dostawały się tam, przepuszczone przez pryzmat, bogatej i wysoce artystycznie uzdolnionej duszy rosyjskiej.

Indywidualność rosyjska zaznaczyła się też dobitnie na każdym przejawie sztuki, skądkolwiek ostatecznie możnaby wyprowadzić jego rodowód.

Indywidualność ta znalazła wyraz nietylko w „szkołach" malarskich, które datują się przecież w Rosji od średniowiecza i które w miarę rozwoju sztuki na Zachodzie pomnażały się i w Rosji.

Wiemy doskonale jaką niespożytą pozycję w sztuce rosyjskiej tworzą ikony. Napozór zdawałoby się powstają one pod wpływem Bizancjum, a przecież wypowiedziała się w nich najgłębsza treść duszy rosyjskiej, jej niespożyta uczuciowość, i to nie uczuciowość jakaś czysto zmysłowa, ale wysoce przeduchowiona, wysublimowana.

To uwidocznienie i szlachetne przeprowadzenie pierwiastka uczuciowo-idealistycznego wyróżnia rosyjskie święte ikony, od religijnego malarstwa bizantyjskiego, mającego raczej charakter abstrakcyjny, metafizyczny.

Nierealne, pozarealne są istoty, które wypełniają płaszczyzny ikon. W jednem jednak zespalają się ze światem realnym, w dynamice uczucia.

Ta dynamika mistyczna, ta żarliwość modlitewna, adoracyjna wyraziła się chociażby w kształcie kopuł cerkiewnych, których spiralnie skręcona sferyczność i wielopiętrowość, zdaje się przypominać płomień świecy, dygocący pod tajemnem tchnieniem.

Rubensowskiej dosadności i masywności cielesnej przeciwstawiono sczasem ideał ascetyczno-mistyczny, jako bliższy duszy rosyjskiej wogóle, a w dziedzinie religijnej w szczególności.

W ten sposób, w tyglu artystycznej świadomości narodu rosyjskiego przetapiały się wszystkie tendencje techniki, wszystkie style, manjery, czy to będzie suchy hieratyzm bizantyjski, czy renesansowy klasyczny ład,



„Burza" Gorkija. Bakurow.

czy barokowa ozdobność, krągłość i wdzięk. Wszystko to wtapiało się w rdzeń psychy rosyjskiej, by z jej głębi wyrastać i przejawiać się w nowych, spokrewnionych z prototypem, ale przecież swoistych, oryginalnych i organicznych emanacjach.

I te prądy artystyczne szły w społeczną głąb, demokratyzowały się i stawały artystyczną praludowością. Tak zresztą bywało i gdzieindziej, żeby wspomnieć naszą podhalańską sztukę z jej przedziwnemi świątkami, zapłodnioną przez gotyk, żeby wspomnieć łowicką barwność renesansowy mającą rodowód, lub z tegoż źródła pochodzące polskie pasyjki.

W Rosji sztuka ludowa zamalgamowała również najrozmaitsze pierwiastki, i nadawszy im czar t. zw. prymitywu, przekazała aż do naszych czasów najrozmaitsze odcienia atmosfery artystycznej różnych czasów.

Artyzm ten, wzorem krajów niektórych, gdzie sztuka jest „pierwszem rzemiosłem apostoła", stał się powołaniem, szlachetnem rzemiosłem, które przekazuje się z testamentem, z pokolenia w pokolenie, jak przekazuje się w Genewie kunszt zegarmistrzowski, w Amsterdamie tajemnice szlifierskie szlachetnych kamieni, w Haarlemie sekret na sery, w Brukseli zręczność koronczarską.

W ten sposób powstały zdala od stolic i oficjalnego artystostwa prowincjonalne, patrjarchalne nieomal ośrodki sztuki, gdzie kwitnie dostojnie rzemiosło artystyczne, idące po modnie dziś zwanej linji sztuki stosowanej. Jakaż bo sztuka nie jest stosowana?

W analogji powiedzmy do naszej tak artystycznie bujnej huculszczyzny, rozkochanej w glinie, do śląskiej koronki, do łowickiego reliefu, możemy postawić ludową sztukę rozwijającą się w szeregu wiejskich ośrodków, takich, jak Palech, Szestowo, Mszczera.

Techniką najczęstszą jest z dalekiego wschodu wywodzące się malowanie na lakce. Kunszt to subtelny, daleki od realizmu, wymagający fantazji, wysokiego zmysłu dekoracyjnego, no i mocnej techniki.

Wszystkie te elementy spotykamy w tem malarstwie wiejskiem.

Podziwiamy w niem przedewszystkiem wdzięk subtelnej ornamentacji, bujność wprost podzwrotnikową elementów linearnego, który wypełnia płaszczyznę obrazu, gęstwa kresek i znaków, przecież nie chaotyczną, ale plastycznie uporządkowaną.

Kontrapunkt w tych arcydziełach fantazji stanowi barwa. Jasna plama światła rzucona w zawiły, kunsztownie splątany kłębek Arjadny, jak słoneczna polana w dziewiczym, mrocznym lesie.

Proszę popatrzeć chociażby na fantazję Bakurowa, dającego ilustrację do Gorkija „Burzy".

Umowność, konwencjonalizm zdobniczy ornamentu w niczem nie przeszkadzają odczuć nam dynamizmu tej kapitalnej sceny. I w tem jest triumf artysty. Jakiż bezmiar bajecznego spokoju i wdzięku wieje znów od tej subtelnej ilustracji do „Rusłana i Ludmiły" Puszkina, przeżywającego dziś swój renesans literacki.

Twórca jego Salonin ze wsi Palech jest inteligencją bogatą i wrażliwą.

Nie mniej doskonały jest Golikow z tegoż Palecha, przedstawiający nam puszkinowskiego „Djabła".

Tak odczuć nastrój poety, tak go uzmysłowić środkami najprostszemi potrafi tylko prawdziwy artysta.

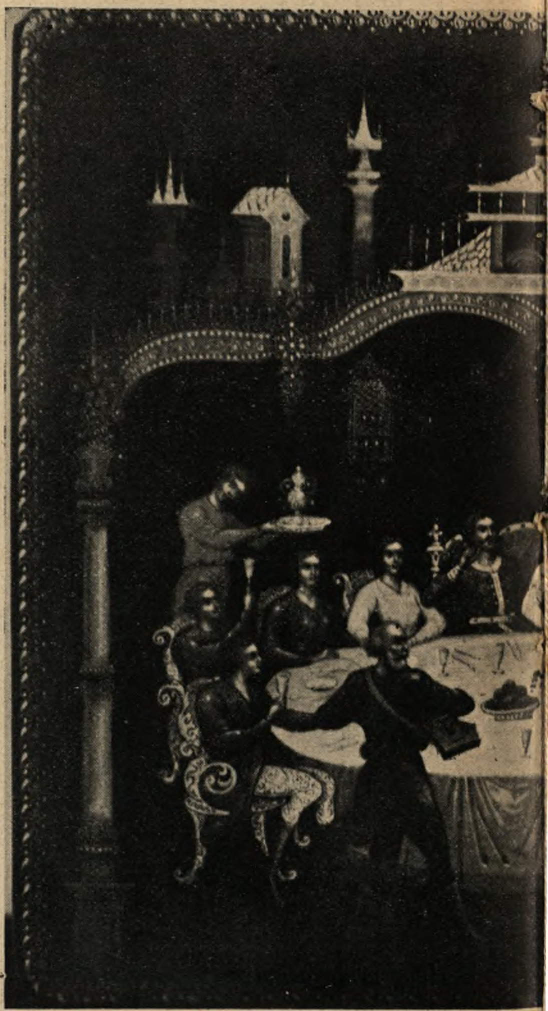
Przechodzimy wreszcie do tych przedziwnych cacek z lakki, które mogą stanowić ozdobę najwykwintniejszego wnętrza.

Czy widzieliście tacę z Szestowa? Czyż znacie prace Kotjagina z Mstery.

Dekoracyjność tego cacek-arcydzieł rzemiosła jest wyjątkowa. Proszę wziąć tylko pod ocenę kompozycyjny ład; a przecież jest tam coś ważniejszego kolorystyczna aura, której słabem zaznaczeniem mogą być widoczne na czarno-białej odbitce, natężenia świateł i cieni.



Taca. Szestow.



„Rusłan i Lu[dmiła]"

Dzięki Markiczewowi możemy wreszcie niedyskretnie zajrzeć do pracowni artystycznej w Palech. Te pochylone nad stołami postacie wiele nam mówią. Tu króluje sztuka, a jej wykonawcy to nie są niewolnicy rzemiosła, sztuka nie uznaje takich, odtrąca z pogardą, oddala od nich objawienie swych tajemnic; to są twórcy świadomi siebie i celu.

Tu nie ma wyrobnictwa. Tu rządzi natchnienie, a kunszt jest tylko pośrednikiem, narzędziem w tej pracy.

Początki artystycznej działalności Palecha giną w pomroce XIII w. Zaczęło się to od ikon przedziwnej piękności, które wędrowały do licznych klasztorów, do chat i na pańskie dwory. Na początku XIX w. liczy Palech około 700 majstrów. Wpływ mistrzów zagranicznych nowych czasów zaczyna się powoli ujawniać u niektórych mistrzów Palecha.



Powyżej: *„Djabeł" Puszkina.* Golikow.



Poniżej: *Taca.* Kotjagen.



...niła" Puszkina. Salonin.



Paleszanie w pracowni artystycznej. Markiczew.

WITOLD BUNIKIEWICZ 4)

PROROK Z DAMASZKU

NOWELA

V.

Dopiero na suto wymoszczonym wozie zebrała Martynka myśli, gdy medyk wlewał w jej usta rzeźwiące kordjały. Umiłowana Nastusia, służebna i powiernica pani, podtrzymywała jej głowę i, choć sama łez pełne miała gardło, szeptała do ucha Martynki:

— Nie lękajcie się wielmożna, miłosierny Bóg wspomoże sieroty, bo miarkuję ze starań tego zbója, iż nic złego nam jeszcze nie zagraża.

— Udawajcie tylko jaknajdłużej chorobę, aby zyskać na czasie, gdyż, jak zrozumiałam z mowy tych psiewiarów, między którymi nie brak i chrześcijańskich ludzi, hetman ciągnie z dużą siłą, a przed nim nie ustoją się poganie.

Martynka rzuciła przerażonem spojrzeniem i wzrok jej zetknął się z oczyma Solimana.

Piękny był na karym rumaku, suta delja spływała mu na ramiona, a na głowie kołpak z czaplem piórem przypominał raczej polskiego władykę, niż bisurmanina.

— Tak dla was się ustroił, wielmożna, aby nie budzić wstrętu obcością szat, szeptała Nastusia. Sobaka jest, wiadomo, ale i w tych stworzeniach odezwie się czasem miłosierne serce.

Posłyszał szepty Soliman i jak piorun dopadł pojazdu.

— Przemówiła chora? Zdrowie jej wraca?

— Nie, panie, majaczy nieprzytomnie, piekło widzi i męki, odrzekła służebna dziewka, zakrywając oblicze pani przed pożądliwem okiem bisurmanina i blaskiem słonecznych promieni, padających wprost na twarz niemocnej.

— Strzeż jej, jak skarbu, a nie pożałujesz fatygi, złotem cię wynagrodzę, pałac zbuduję, jakiego nie ma żaden książę waszej ziemi i męża ci znajdę, jak psa wiernego.

Nastusia uśmiechnęła się łakomie do tych ponęt, a Soliman nachylił się aż do czoła chorej, łowiąc falowanie jej piersi i stukot tętna.

— Allah, Allah litościwy, nie zabieraj jej jeszcze jako ziarnka granatu do skarbnicy twej wiekuistej potęgi, ale pozostaw ten owoc soczysty, iżby cię sługa wychwalał do ostatnich dni swego żywota. Ból łkał w piersi Solimana, a krogulcze źrenice wżerały się w niewiastę, jakby chciały pobudzić mdlejące jej siły.

Dziwny dreszcz, nigdy dotąd niezaznany, przebiegł ciałem Martynki.

Podobnego uczucia doznała raz wtedy, gdy całował dziewczęce jej usta, na których uczuła potem krew, jego krew, tryskającą spod ostrza Nikodema. Życiem całem chciała zapłacić za tych kilka kropel oszołomienia, miłość dozgonną ślubowała kapitanowi, żoną jego została wdzięczną i oddaną, na gore sobie i im wszystkim, na gore narodowi, który krwawił się za jej sprawę.

Bogdajby rozszarpały ją wilki, zachodzące w noce zimowe pod ojcową siedzibę, bogdajby ospa posiekała jej twarz i wyżarła oczy, iżby wstrętną stała się ludziom i trwożyła ohydą dziecięta!

Tyle krwi, tyle krwi ludzkiej, za to jedno przewinienie, iż udatniejszą jest od innych młódek i bardziej łakomą pieszczoty.

Poczuła odrazę do siebie samej.

— Cierpi, biedna, przemówił Soliman do starego druha Achmeda, który na krok go nie odstępował, kojąc duszne jego udręczenia.

— Wstrzymamy pochód.

— Zły Iblis, gnieżdżący się w chodorowskich błotach, opętał cię i wyzuł z rozumu.

Szejtan przynagla o wojska, aby zmiażdżyć tego ryczącego Lwa Lechistanu, który urąga padyszachowi i niepokoi jego wiernych lenników, a ty myślisz o postoju? — odrzekł gniewnie Achmed.

— Bierz licho Szejtana i hospodarską wierność chorągwi proroka! Komu zachciewa się carskiej korony, niech sam ją bierze, dla mnie jedynem carstwem ona biedota, z której dusza za chwilę ulecieć może.

I jakby na potwierdzenie tych słów kazał dąć piszczałkom i łomotać w kotły, zwiastując wojsku odpoczynek i wywczasy.

Nie wierzyli własnym uszom mirzowie i w setkach bojów doświadczeni janczarowie, ale wola Solimana była święta.

Nauczyli się ulegać bez szemrania rozkazom, które Allah najdobrotliwszy wydaje przez usta człowieka, powierzając mu władzę nad mahometańskim ludem.

Szeroko więc, jak oko sięgnie, stanęło miasto namiotów, a wśród nich najpiękniejszy Solimana, ozdobny buńczukiem wodza oraz świętym znakiem proroka i dobrej nadziei.

Do arcytworów należą freski cerkwi palechskiej, poczęści wzorowane na miedziorytowych ilustracjach biblijnych Krzysztofa Weigla z r. 1680, wydanych w Augsburgu. Zadziwiają w tych freskach przedziwne kontrasty barw: czerwonej i zielonej, błękitnej i żółtej.

Malowanie ikon z czasem zwyrodniało wskutek masowego charakteru ich produkcji. Nowe motywy w sztuce Palecha pojawiają się dopiero obecnie, dzięki zbliżeniu się paleczan do literatury ojczystej. Pojawia się ilustracja pod natchnieniem już to czarownego świata Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa, już to realizmu Tołstoja czy Gorkija. W technice zaczyna dominować styl Rafaela, uzupełniony tradycją prymitywu. Rysunek wirtuozyjny, kolorystyka przepysznie wysubtelniona, znająca 300-ta odcieni barw.

Na tej sztuce śledzić możemy drogi prądów artystycznych i całego świata. Wpływy sztuki egzotycznej, wschodniej, poprzez wpływy europejskie.

I to jedna z ciekawszych stron artystycznego bogactwa, które powstaje ustawicznie na podłożu wszelkiego dziwactwa przeszłości w owych rosyjskich wsiach, które właśnie dzięki temu włączają swą egzystencję do wielkiej rzeki powszechnej cywilizacji.

— cki.

VI.

Było już po żurawieńskiem zwycięstwie, gdy pan Wołk wrócił nieco do sił.

Ze wszech stron ciągnął lud do sadyb, a z całej ziemi spływały błogosławieństwa na głowę hetmana, który tysiące ludzi uwolnił z jasyru, powracając go ojcowskiej niwie.

Ojciec Władysław pocieszał obłąkanego rozpaczą, że tylko patrzeć a Martynka zastuka do komnaty, zbiedzona pewnie i sfatygowana zdarzeniami losu, ale niepokalana w swej miłości do małżonka.

Pan Wołk zebrał wierną sobie drużynę, do której przystał pierwszy paroch Czornyj i chciał popędzić za napastnikiem, choćby do Carogrodu, ale zaledwie wyjechał za bramę, zwalił się na ziemię ze słabości i wycieńczenia.

Medyk Jonasz długo musiał używać swej sztuki, zanim rozdmuchał znów w kapitanie iskrę życia, przeto zabronił mu myśleć o jakiejkolwiek wyprawie wprzód, nim wróci dawna krzepkość.

Siadywał więc pan Wołk na ławie przed basztą i spoglądał nieruchomo na szybę stawu, obojętny na wszystkie sprawy ludzkie.

Czasami tylko ożywiała się jego twarz, gdy usiadł przy nim ojciec Władysław.

Lecz w miarę upływających dni nie wierzył świątobliwy kapłan własnym słowom, powtarzając je raczej z litości, niż z przekonania.

Oddany Nikodemowi rebe Izajasz aż za mołdawską granicę posłał co najsprytniejszych Żydków, aby dowiadywali się o Martynce i w razie potrzeby nie pożałowali grosza na wykup, zaś paroch Czornyj porozsyłał listy do swych kozackich przyjaciół na dalekich stanicach, zaklinając ich na dawną przyjaźń i zbawienie dusz, aby odszukali niewiastę i dostawili ją do Chodorowa.

W kościele, w cerkwi i w synagodze zanoszono gorące modły o szczęśliwy wynik poszukiwań, a serca mieszkańców złączyły się jednem pragnieniem, nietyle ze względu na niewiastę, ile z żalu za kapitanem, który wiądł w oczach.

Wróci na świętą Jadwigę, która jest opiekunką zaginionych i jeńców w jasyrze, obiecywał ojciec Władysław. Lecz minął dzień oznaczony, a o Martynce nie doszły żadne wieści.

Będziesz ją miał na Wszystkich Świętych, którzy wstawią się całą gromadą do Pana Boga, słysząc modły wiernego ludu, pocieszali kapitana przyjaciele, a i ten dzień minął, a nową datę powrotu Martynki oznaczono na Boże Narodzenie, gdy bezpiecznie zrobi się na świecie i kupy rozbójnicze trzymać się będą ciepłych kominów.

Wtedy zjawi się Martynka, ukryta pewnie w jakowemś zaciszu, albowiem jest niepodobieństwem, aby nie odbiły jej wojska hetmańskie, lub zbrojne gromady ludu, zachęcone przykładem hetmana.

Pan Wołk słuchał w milczeniu obietnic, rachował dnie i spoglądał na klepsydrę, znaczącą bieg godzin, za każdym zaś nowym zawodem pogrążał się w coraz czarniejszą melancholję, która budziła grozę i serca ludzkie ogromną napełniała litością.

Minął Nowy Rok i zbliżało się święto Trzech Króli, a pan Wołk wybierał się znowu w podróż.

Tym razem nie chciał nikogo brać z sobą.

— Gwiazda mnie powiedzie i zaprowadzi na miejsce, a Bóg będzie mym towarzyszem, opowiadał pan Nikodem zafrasowanym przyjaciołom.

Zbielałe od łez jego oczy unikały ludzi, w których widział nieszczęśnik tylko wrogów, czyhających na niego i na Martynkę.

— Gorsi jesteście, niż wściekłe bestje, Boga nawet zamordowaliście, więc cóż wam człowiek?

— I ja takim byłem — wołał pan Wołk, bijąc się w piersi, ale bądź mi litościw, Panie, nigdy Cię bowiem nie urażę taką winą, wiedząc, iż wszystkich stworzyłeś dla szczęścia ziemskiego i dla Twej najwyższej chwały.

W świat pójdę, w świat, aby wszystkim głosić prawdę niekłamaną, którą wykrzywiła złość, chciwość i samolubstwo.

Często nocami zrywał się pan Wołk z pościeli, majacząc nieprzytomnie, a taka krzepkość wstąpiła w niego, że śmigał pacholikiem, jakby piłką, ilekroć sługa wzbraniał mu szaleństw i przynaglał do łoża.

A pewnej nocy znikł z gródka.

Nie stawiano mu nawet przeszkód.

Niech idzie, może wśród obcych uciszy obłąkane serce i zbierze w karby zmysły, które go opuściły.

VII.

Soliman dał ucho prośbom Martynki i ruszył śpiesznym pochodem za Dunaj, ratując ludzi sułtańskich od zagłady.

Któż bowiem mógł zmierzyć się z Lwem Lechistanu, pod którego buławą działy się niezrozumiałe dziwa?

Zdawało się, iż hetman tylko garstkę prowadzi, mizerną kupę, którą turbanami nakryją synowie Allaha, a gdy niebacznie wdali się w walkę, każdy niewierny jeździec mnożył się dziewięciokroć i, jakby za sprawą czarów, pojawiały się nieprzeliczone chmury wojsk hetmańskich, wycinając do nogi najwaleczniejsze hufy Mahometa.

Nieraz oglądali te czarodziejstwa świątobliwi muffowie i donosili Dywanowi o dziwnych zdarzeniach, więc rad był sułtan, że Soliman przyprowadził mu nierozgromione wojsko i, przejrzawszy nierówną walkę, cofnął się w porę przed niebezpieczeństwem.

— Przeklęty kraj, powtarzali mirzowie, duchy pustyń i grodów, złe i dobre społem, w jednej gromadzie, zwaliły się na lud proroka.

— Za brak pobożności i nieposłuszeństwo koranowi, szeptali między sobą święci mężowie, których nie brak było naonczas we wszystkich miastach osmańskich, od Iranu, aż po wody Dniestru i Dunaju.

W meczetach opowiadano o chwale młodego wodza i o jego bystrych źrenicach, które przebijają nietylko skłębione chmury, ale i skalne opoki, oraz wody głębokie, a dusze ludzkie tak nawskroś przewiercają, iż każda myśl obca jest mu wiadoma i żadna niecnota nie może się ukryć przed jego spojrzeniem.

Temi przenikliwemi źrenicami dojrzał Soliman cud niewiastę i przywiózł ją nietylko ku uciesze serca własnego, ale całego ludu mahometańskiego.

Już poeci składali wiersze o Solimanie i jego krasawicy, ale najdelikatniejsze melodje nie były w stanie wyśpiewać tych wdzięków, jakie roztaczała wkrąg siebie.

Żaden mężczyzna, prócz męża, nie oglądał wprawdzie jej oblicza, bo gęstym przesłoniła je szarszafem, ale pewnie dlatego rosła sława jej piękności, prześciga-

jąc wszystkie opowieści, jakie kiedykolwiek rozgadywano o niewiastach.

Jedno tylko niepokoiło słuchaczy, iż łzy zastygły w jej oczach i skamieniały w dwa duże turkusy.

Nawet wtedy, gdy uśmiechem jaśniało jej oblicze, łzawa tęcza barwiła jej źrenice.

Całował, całował te oczy Soliman i nie broniła mu pieszczoty, lecz niby kwiat po nawalnej burzy chłonęła słońce miłości, wygrzewając się w jego rozkoszach.

A Nastunia dodawała jej jeszcze ochoty.

— Dobry był dawny panisko, ale o grodzisku więcej myślał, niż o wielmożnej.

Niech tam żyje w spokoju!

Lecz czasem w Martynce budziły się namysły:

— Niegodna jestem i bezecna, bo lepiej było utopić w piersiach nóż, niż pójść za bisurmaninem.

— Uchowaj Boże — wołała przelękniona Nastunia. Nie nasza jest wina, że zamiast brodzić po błotach, jak czaple, przechadzamy się pod drzewami pomarańcz w ogrodach, jakich król nie ma pewnie w Warszawie.

Z czyjej przyczyny przeniesiono nas z ponurego gródka do tych komnat wysłanych kobiercami?

Mogli strzec, mogli nie dopuścić do tej zamiany, odbić na stepie, wymordować rabuśników.

— Nie, nie, przerywała Martynka rozhowor służebnej, a w głosie jej brzmiała trwoga.

— Mogli, wielmożna pani, ciągnęła dalej Nastunia, ale nie zrobili, więc cóż nam zostało niewiastom, jak pogodzenie się z losem?

Tak mówiąc, napełniła usta wyszukanemi bakaljami i z lubością spoglądała na otaczający je dostatek, przypominając sobie z niechęcią czarny chleb czeladny i swąd wędzonego mięsiwa w chodorowskiej kuchni.

I patrząc na te dwie młódki, z łatwością możnaby wziąć Martynkę za cichą i pokorną niewolnicę, a jej służebną za dostojną panią, taką krasą szat i kosztownością klejnotów jaśniała Nastunia.

— Kobieta, jak naręcz wysuszonych wiór, od byle iskry zapłonie, mawiali starzy szejkowie, widząc Martynkę na ulicach Damaszku, samowtór z Nastunią, ale Solimanowej niewiasty nie obejmie żar, bijący od najurodziwszych młodzieńców świata.

Zasłużył Soliman na taki skarb, Allah jest sprawiedliwy i szczodry.

A czy się zjawiała w słynnych bazarach en Nahhasin, gdzie płatnerze kuli sławne klingi i misternie obrabiali kruszce, czy nad srebrzystemi strumieniami Barady, lub w ulicy felaków, wszędy towarzyszyła jej ludzka przyjaźń.

— Pijcie spragnieni, piękna Martynka darzy was chłodnym napojem, wykrzykiwali przekupnie, podając bezpłatnie biedakom czary z wodą. I za jej sprawą codzień rozdawali straganiarze pszenne placki najbiedniejszym z biednych, a nawet poniewierane psy arabskie nie pomrukiwały na jej widok, lecz przybiegały do jej szczodrej ręki.

Rozdałaby cały skarb sułtana, byleby ujrzeć szczęśliwych wokół siebie.

Czasem jednak lęk ją ogarniał przed własnemi myślami.

W okna jej domu zaglądał cień świętego minaretu, skąd, wedle przepowiedni, zstąpić ma Jezus Chrystus na sąd ostateczny.

Nie znajdzie dla niej litości!

Z nad strumieni Barady dolatywały dźwięki strun i przeciągłe śpiewy, sławiące rozkosze miłości, mocniejsze niż wszystkie potęgi świata i tak upojone, iż sam prorok ulegał ich sile.

Oto codziennie niemal ociera się o mury Dżamije el-Oumani, gdzie w marmurowym grobie spoczywa głowa Nebi Iahyia, owego świętego męża, który za życia odtrącił pocałunki i pieszczoty, lecz nie uniknął ich po śmierci, składając swą skrwawioną głowę do rąk Herodjady.

VIII.

Trzy razy okwitnęły pomarańcze i wydały plon, gdy do mędrców z Damaszku, trawiących czas na nauce i rozmyślaniu, pod arkadami meczetu proroka Jana, dotarła przedziwna nowina.

Wielki uczony Nazmi, do którego przyjeżdżali po naukę uczniowie z najodleglejszych kończyn świata, wrócił niedawno z błogosławionej Doliny Zieleni i na własne oczy oglądał cudacznego Nazarejczyka.

Wbrew zwyczajowi pielgrzymów, zdążających do Jeruzalem, ubrany był z rycerska i nawet nie odpasał szabli od boku, lecz ilekroć na nią spojrzał, wołał żałośliwym głosem, któryby wzruszył dziką bestję w pustyni, a cóż dopiero dobrego człowieka.

— Nie wierzcie ogniowi i żelazu, nie ufajcie palisadom i wodzie, ani wytrwałości przyjaciół! Zawiodą was i zgubią!

Nazmi przysunął się do mędrkującego włóczęgi i zapytał wyzywająco:

— W jaki sposób uporasz się z nieprzyjaciółmi Boga i własnymi wrogami?

Roześmiał się żebrak szyderczo wprost w twarz uczonego i począł wykrzykiwać:

— Pyszałku, zarozumiała głowo, alboż Pan Przedwieczny może mieć nieprzyjaciół? Zmurszały twój rozum bredzi i uwłacza Nieśmiertelnemu, który jedną iskierką swej mocy zdruzgotać może wszystkie potęgi świata.

— Psie nikczemny! Głupia twoja nauka!

Zdrętwieli z oburzenia uczniowie Nazmiego, a mistrz prawił dalej:

— Tak śmiesznego żebraka nie widziały jeszcze oczy ludzkie, toteż podąża za nim tłum próżniaków na poszukiwanie jakiegoś skarbu, za którym szaleniec wypatruje oczy.

Kroczyli już w granitowe czeluście Antilibanu i lada dzień zejdą w kwitnącą dolinę ogrodów i minaretów. A przybycia jego czeka biedota miejska, wyglądając zmian, które może sprawią, iż choćby przez jeden dzień nie zbraknie nikomu chleba i dowoli krzepić będzie spieczone żarem gardło. Raz jeden w życiu do sytości!

Nie zdołał jeszcze cudaczny wędrowiec przepatrzeć ulic Damaszku, gdy bicz boży spadł na miasto.

Po skwarnem lecie, jakiego nie zapisały najstarsze kroniki, powiały silne wiatry, a potem rozsierdziła się niepamiętna w tych stronach pluta.

Przyszła wraz z jasyrem, który tego roku był tak obfity, iż za młodą brankę płacono dwadzieścia baranów, a za junaka połowę tej ceny.

A towar był dobrej jakości, poszukiwany na targowiskach, przygnano go bowiem z Lechistanu, gdzie kobiety jędrne, jak rzepy, a mężczyźni są robotni i cierpliwi.

A wraz z jasyrem i plutą spadła zaraza i wyludniła rojne ulice, bo kto mógł, uciekał w góry.

(D. c. n.)



Z POLITYKI

Za Pirenejami

W zamęcie różnych spraw mało zwracamy uwagi na to, co się dzieje za Pirenejami. Tymczasem zaś dokonywują się w państwie Ferdynanda katolickiego zmiany bardzo poważne. Spływa płytki namuł wywrotowych haseł i urządzeń naniesiony przez powódź rewolucji. Tak więc widzimy w Hiszpanji odrodzenie się wpływów katolickich. Reprezentuje je partja Gil Roblesa, t. zw. Ceda (konfederacja prawicy autonomicznej). Dzięki niej, przez półtora roku, trwa zakończony właśnie obecnie okres drugi, przejściowy, poświęcony gojeniu ran, usuwaniu szkodliwych przerostów. Tej trudnej, niewdzięcznej roli podjęła się partja radykalna. Równocześnie rósł w siły, potężniał Gil Robles. Jego znakomicie zorganizowana, karna Akcja Ludowa ogarniała coraz szersze masy, wchłaniała coraz więcej młodzieży. Oddawna wiadomo już było, że żaden rząd nie utrzyma się dwudziestu czterech godzin wbrew jego woli. I rzeczywiście czas pracował na korzyść Cedy i jej wodza. Dziś udział katolików w rządzie jest warunkiem sine qua non. W rezultacie wzrastać musi ilość tek, któremi rozporządzają. Po ostatnim przesileniu przypadło im aż pięć. Wicepremjerem i min. wojny został sam Gil Robles, a pozatem dla swoich ludzi teki: przemysłu, handlu, komunikacji, sprawiedliwości i pracy. Jak widzimy, są to przeważnie dziedziny społeczno-gospodarcze.

Szach włoski

Najwięcej temperamentu politycznego przejawia dziś Mussolini. Nic więc dziwnego, że uwaga świata skupia się koło Włoch, a różni dyplomatyczni wróże zajmują się przepowiadaniem przyszłości. Niby z kim i przeciw komu pójdzie Il Duce? Tymczasem niezmordowany dyktator, pięciokrotny minister, lotnik, automobilista, jeździec, osobiście wszystko robi przy dźwiękach Giovinezzy; to żnie zboże, posiane na dawnych błotach pontyjskich, aby Włochom było dostatniej żyć, to znów osobiście próbuje nowych granatów, aby łatwiej można było umierać wrogom narodu włoskiego. Więc wojna? Mussolini stawia przecież wojnę w rzędzie pierwszorzędnych czynników, wychowujących moralną siłę narodu. I dlatego zmobilizował kilka dywizyj młodzieży i rzucił je do afrykańskiej Erytreji, skąd już krok do Abisynji. Coprawda Liga Narodów poskromiła trochę wojownicze zapędy italskiego cezara, ale... Do ustania pory deszczów jeszcze jest trochę czasu. Il Duce wykorzystuje ten czas, by ustosunkować się tymczasem do pewnych zagadnień europejskich i w ten sposób zabezpieczyć sobie plecy na okres swych afrykańskich podbojów. W tym celu nie waha się zrewidować niedawnego paktu rzymskiego. Jak zwykle, czyni to gwałtownie a przytem w formie obrazowej, że trudno mieć wątpliwości. Rzuca więc nagle myśl porozumienia z Niemcami. Automatycznie pociąga to za sobą oziębienie stosunków z Francją i Anglją. Jest to mocna reakcja na sojusz francusko sowiecki i angielskie przeszkody dla afrykańskiej ekspansji Italji. Czyż poto zmobilizował Mussolini jakiś miljon, żądnych wojennych laurów faszystów, by zakorkować ich energję w bezpłodnem oczekiwaniu? Chyba nie. Duce znajdzie sposób na wyzwolenie tej zdobywczej mocy i na zabezpieczenie tego procesu od wszelkich niespodzianek. Grożąc porozumieniem z Niemcami, chciał Mussolini zadać szach Anglji.

Mat angielski

Na ten włoski szach odpowiedziała Anglja ostrym matem, który zaniepokoić musi dobre pół Europy. Chodzi tu o umowę z Niemcami w sprawie zbrojeń morskich. Umowę tę zawarto samodzielnie nie oglądając się na nikogo, co musi oczywiście być niewsmak i Francji i Włochom i wielu innym, ale nietylko to. Przedewszystkiem czują się one zagrożone w swoich interesach morskich, w dotychczasowej równowadze sił. Państwa nadbałtyckie są zaś wręcz przerażone zarysowującą się na Bałtyku przewagą floty niemieckiej.

Stąd alarm. Stąd atakowanie Anglji za naruszenie samego traktatu wersalskiego. Stąd oskarżenie zielonego Erynu o obrócenie w niwecz t. zw. konferencji rozbrojeniowej.

Tymczasem zaś niema się czemu dziwić. Anglja postąpiła według starej zasady utrzymania równowagi sił swych ewentualnych rywali. Widząc jak Francja sięga aż do Moskwy, a Włochy do Afryki, Anglja zdecydowała się zadać im cios dość druzgocący i odwrócić ich uwagę ku bliższej sprawie bezpieczeństwa w Europie. Odrazu więc zmieniła swą taktykę względem Niemiec. I choć odszedł od rządów uchodzący za germanofila Mac Donald, obejmujący jego stanowisko Baldwin postąpił właśnie według jego recept, z tą korektą, że nie bawiąc się w urojenia pacyfistyczne, pozwolił Niemcom się zbroić. Jedno tylko zastrzeżenie — byle poniżej poziomu zbrojeń angielskich. Ciekawa w tem pociągnięciu angielskiem je m'en fiche jest rola Edena. Tego Edena, który pojechał najpierw do Berlina, potem do Moskwy kokietować Stalina, potem dostał dyplomatycznej grypy, po tych wojażach. Aż ostatecznie wypłynął w sprawie morskich zbrojeń. Otc jak Anglja uczy świat perfidji.

Wojna... wojna...

Ale nie uległo zmianie stanowisko angielskie w całej sprawie zbrojeń. „Myli się ten — powiedział lord Baldwin — kto przypuszcza, że spowodu „białej księgi" przywdzieję białą, pokutniczą koszulę". W dalszym ciągu swego przemówienia podtrzymywał w całości twierdzenia, zawarte w księdze demaskującej zbrojenia niemieckie, a zwłaszcza podkreślił znaczenie zbrojeń napowietrznych, w których Niemcy znalazły się w pierwszym szeregu. Ich fabryki są w stanie produkować dziennie po kilkanaście samolotów pościgowych i bombardowych. To są nie żarty. Na to Anglicy mogli odpowiedzieć tylko w jeden sposób — przez zwiększenie swego budżetu wojskowego.

Gdy przed wojną budżet wojenny Anglji wynosił 77 miljonów funtów szterlingów, obecnie urósł do 115 milj., a w tym roku wzrośnie jeszcze więcej. Szczególnie nie żałują Anglicy pieniędzy na flotę powietrzną, boć właściwie wyścig powietrzny w Europie, zapoczątkowany przez Niemcy, jest już w całej pełni.

W Anglji wobec niebezpieczeństwa napowietrznego mówi się o tem, że granica wysp brytyjskich przesunęła się nad Ren. Ale Francja faktycznie leży nad tą granicą i musi się głęboko zastanowić nad bezpośredniemi konsekwencjami tego faktu. Obrona linji Renu to obrona niepodległości Francji; a nie jest to takie proste wobec faktu, że ojczyzna Napoleona przeżywa dziś poważny deficyt sił ludzkich i najbliższe cztery roczniki poborowe okażą się nieliczne i słabe, jako zrodzone w czasie wojny. W jednym z poważniejszych dzienników czytało się niedawno uwagi tego rodzaju, że nie poto trzyma się armję, by nie było wojny, że zamiast zwlekać, lepiej zastanowić się jak wroga bić. Tak radził przecież sam Jan Kochanowski, który był, jak wiadomo, wielkim poetą i trochę mniejszym rycerzem, gdyż, jak sam mówił o sobie, raczej był przypasany do szabli, niż szabla do niego. Jak widzimy, wojenne rady często dają tacy, co wojny nie widzieli.

Ostatecznie jednak, tak czy inaczej, gdzieś kiedyś wojna wybucha, a wtedy nawet przypasani do szabli muszą się bić. Czasami tak się biją, jak Grecy w ostatniej rewolucji, gdzie po 10-dniowej wojnie było kilku — czy — kilkunastu zabitych. Słowem na wojnie zrobionej nieomal na zamówienie dla kroniki filmowej Foxa.

ZE SZTUKI



Procesja na wsi. Witold Pruszkowski.

W I. P. S'ie odbyły się dwie wystawy, które zgromadziły bardzo ciekawe eksponaty. Mamy na myśli majową wystawę Loży wolnomalarskiej oraz Zofji Stryjeńskiej, Malczewskiego i czerwcową wystawę L. Gottlieba, Mierzejewskiego i T. Czyżowskiego.

Na czoło wolnomalarzy wysunął się niewątpliwie W. Linke, jako pełen niezwykłej ekspresyjności karykaturzysta, następca patetycznej karykatury Goyi. Podobnie jak hiszpański mistrz palety, Linke występuje pod wzniosłym sztandarem humanizmu przeciwko okrucieństwom przedewszystkiem wojny, a potem wogóle wszelkim okropnościom t. zw. cywilizacji, przeciw wyzyskowi, przeciw potwornościom i ohydzie urbanizmu. Z niezwykłą, przerażającą wprost w swej bezlitośności szczerością obnaża artysta wszystkie bolączki współczesnego życia, które z człowieka zrobiło spłaszczony załącznik do stosu głupich papierków, które wprzęgło tego człowieka, jak dorożkarskiego konia do wehikułu, wiozącego Molocha wyzysku.

Ten wehikuł pędzi naoślep dookoła ponurej studni, otoczonej niebosiężnemi murami, która nosi na urągowisko chyba miano ,,placu wolności".

Po tych makabrycznych tematach oddychamy z ulgą wśród jasnych, tęczowobarwnych, w stylu pociesznej, ale pięknej groteski kompozycji Stryjeńskiej. Do ironicznych wydarzeń tej wystawy, które powinien uwiecznić ponury artysta Linke, należy zapisać fakt, że obrazy Stryjeńskiej zafantował komornik. Bajecznie kolorowy świat prasłowiańskiej bajki, przypieczętowany lakiem ,,pana z teczką" za długi artysty — to nie codzień się zdarza.

Nie codzień też zdarza się powodzenie, jakie znalazły obrazy Rafała Malczewskiego, odmalowujące smutną grozę pejzażu śląskiego, eksploatowanego przez górników i hutników. Prawie cały ten śląski komplet został zakupiony przez różne instytucje.

Typowy parysianizm prezentuje nam L. Gottlieb, ale parysianizm bardzo wyrafinowany w oszczędności i brawurze faktury, bardzo śmiały w pomysłach kompozycyjnych, kolorystycznych i wirtuozyjny w traktowaniu figury. Trudno oszczędniej, bardziej celowymi skrótami wyrazić tyle treści plastycznej. Gottlieb to mistrz.

Poetą półtonów, zamazanych subtelnie perspektyw, oczekujących na rozwinięcie motywów dekoracyjnych jest Mierzejewski. Czyżewski Tytus, prekorsur nowatorstwa, dziwnie spokojnie pozwolił zatonąć swej werwie malarskiej w niepokojąco desousowo różowym kolorycie, poprostu brzydkim, zwłaszcza, że rozbabranym bardzo niedbałym pędzlem. Dobre pomysły psuje zła faktura.

Wśród stałych płócien wiszących w Zachęcie zwracają uwagę dzieła Witolda Pruszkowskiego. W tym artyście splotły się w doskonałej harmonji dwa pierwiastki: fantastyczny i realistyczny. Właściwa jest mu tendencja literacka.

Ale dobremu malarzowi nastręcza to jedynie pole do wspaniałego popisu w dziedzinie kompozycji i kolorystyki. Proszę popatrzeć chociażby na ten obrazek ludowy, który tu podajemy. Ile tu wdzięku, ile wirtuozerji kolorystycznej.

Swoistą technikę ustalił sobie Maciej Nehring w dziedzinie pejzażu, w swym charakterze nawskroś polskiego. Niewątpliwie w liczbie polskich pejsażystów współczesnych zajmuje on jedno z przodujących miejsc. **cki.**



Pejzaż. M. Nehring.

Z PIŚMIENNICTWA

Rocznice literackie. Rok 1910 był rokiem śmierci nietylko wielkiej Elizy Orzeszkowej, ale również drugiej niemniej wybitnej pisarki — Marji Konopnickiej; przypadające jednak teraz dwudziestopięciolecie jej zgonu pomijane jest jak dotąd głuchem milczeniem. Przed dwudziestu laty — w pełną burzę wojenną umarł głęboki krytyk Stanisław Witkiewicz; na r. 1915 przypada też śmierć Jerzego Żuławskiego — poety-filozofa, co szedł walczyć o Polskę niepodległą z karabinem w ręku; wreszcie jak pisze Żeromski, ,,zgasł w tym czasie niemal stuletni Teodor Tomasz Jeż, nie doczekawszy się po długiej nocy czuwania jutrzni wolności, świtającej nad Polską — on, co przez długi swój żywot zdążał do jej granic wszystkiemi szlakami Europy, a do niewolnej nie chciał wrócić z tułactwa". Niemniej obfity w straty dla literatury był rok 1925, obok bowiem Edwarda Słońskiego — autora popularnego w latach wojny zbioru wierszy pt T a, c o n i e z g i n ę ł a, w krótkim przeciągu czasu jeden po drugim zmarli dwaj najwięksi po Sienkiewiczu powieściopisarze — Stefan Żeromski i Władysław Stanisław Reymont. (ch)

Uroczystości jubileuszowe ku czci Orzeszkowej, które spowodu żałoby narodowej odbyć się nie mogły w maju rb, przeniesione zostały na jesień, wtedy więc spodziewać się należy zarówno obchodów i akademij, jak również odpowiednich artykułów w prasie. Ośrodkiem centralnym uroczystości będzie Grodno, gdzie Orzeszkowa żyła i pracowała i gdzie spoczęła w grobie, przeżywszy lat sześćdziesiąt osiem. (ch)

Stulecie śmierci Brodzińskiego. Rok bieżący poza szeregiem innych rocznic żałobnych jest stuleciem wygnańczej śmierci ,,autora W i e s ł a w a" — Kazimierza Brodzińskiego. Nie był to pisarz wysokiej klasy, jednak w historji literatury zajmuje pozycję bardzo wybitną, był bowiem Janem Chrzcicielem polskiego romantyzmu. Rozprawą O k l a s y c z n o ś c i i r o m a n t y c z n o ś c i torował drogę romantyzmowi, a jego własna twórczość zaliczana jest do t. zw. preromantyzmu jako częściowa realizacja niektórych postulatów romantycznych. Brodziński wywierał w swoich czasach wpływ przepotężny, oddziaływał jednak nietyle twórczością oryginalną, co działalnością publiczną. Profesor historji literatury polskiej, stylistyki i estetyki na Uniwersytecie Warszawskim, biorący czynny udział we wszystkich poczynaniach kulturalnych, pozostawał w bliskim kontakcie z takimi poetami romantycznymi jak Józef-Bohdan Zaleski czy Seweryn Goszczyński, oddziaływaniem swem sięgając nawet do Chopina. Ten 2 listopada 1826 r. pisał do Jana Białobłockiego:

„Słucham Brodzińskiego, Bentkowskiego i innych, w jakimkolwiek związku będących objektów z muzyką.“ Właśnie Brodzińskiemu zawdzięcza Chopin zwrot do ludowości, dzięki czemu polski mazurek stał się formą muzyki klasycznej. Śmierć Brodzińskiego nastąpiła w Dreźnie, gdzie też jest pochowany. Kraszewski w Listach z zakątka (w Biesiadzie Literackiej z r. 1879) donosił: „Wypadek zrządził, żem się tu dowiedział o będącej w gabinecie figur woskowych pośmiertnej masce ś. p. Kazim. Brodzińskiego. Zapytano stąd p. A. E. Odyńca, który był przy zgonie jego, czy istotnie zdjętą ona była, co on listem potwierdził. Hr. Engeström zamierza nabyć tę szacowną pamiątkę i ofiarować ją jednemu z naszych naukowych towarzystw, dla przechowania.“ W stulecie śmierci Brodzińskiego wartoby odszukać tę pamiątkę, gdyż wierniejsza od niej podobizna Brodzińskiego nie istnieje napewno. (ch)

WACŁAW BERENT: Nurt.

Ospali zrobiliśmy się do historji po uzyskaniu niepodległości. Wydychujemy ze siebie zmęczenie po prawie półtorawiecznem konserwowaniu wspominek świetności, po sztucznem życiu przeszłością wśród martwoty i beznadziejowości współczesności.

A jednak czas sięgnąć do niedostępnych dawniej źródeł i wskrzesić oczom pokolenia zwycięskiego kartę po karcie epopeję zmagania się z zaborem.

Inne będzie do niej podejście pisarza obecnej chwili, niż Żeromskiego w „Popiołach“, niż Reymonta. Oni chcieli tchnąć w piersi swego pokolenia poryw walki. Szukali wzorów dla zintelektualizowanych, bezwolnych w osaczeniu zakazów zaborczych ideowców polskich. Unikali tego, co mogło zrazić do dążeń niepodległościowych. „Popioły“ ukazały w glorji nietylko zapał legjonistów Dąbrowskiego. Nawet w wojnach Napoleona, wykuwającego w dymie bitew swój los cezaryczny, odkrywały cel najwyższy — obdzielenie wolnością ludzkości całej. Wtedy jeszcze nie zachłysnęła się Europa wolnością, za którą szedł kat z czerezwyczajki. Mało było jednego dopiero okresu rządów jakobinów, mało było gilotyny i lyońskich Noyades. Toż im właśnie przeciwstawił się Napoleon, na sztandarach swych niósł wolność umiarkowaną, prawo. Wolterjanizm armij francuskich był sprawą raczej indywidualną. Śladem pochodu tego światowładnego cezaryzmu zrywały się powstania narodowe, występujące jednocześnie w obronie religji — powstanie guerillasów hiszpańskich, partyzantka Fra Diavola i Sciabolone, zbiorowy wybuch patrjotyzmu niemieckiego, dziki, barbarzyński opór mużyków, nie zdających sobie w najmniejszym stopniu sprawy, że wielki Napoleon chce ich wyzwolić z despotyzmu i ucisku cesarskiego. Oni praw człowieka bynajmniej nie byli godni.

Wszystkim żywiołom niepodległościowym, wyznającym nieśmiertelny romantyzm powstańczy, wczarował stary rewolucjonista Limanowski, poeci, Żeromski kult wielkiej misji Napoleona. Legenda ta przez ileż dziesiątków lat podpierała legendę o zapasach garści polskich straceńców z całą Europą... W ilu piersiach zapaliła żar, ilu rzuciła w boje podziemne, w boje legjonowe...

Ale teraz nie trzeba legendy... Stało się już ciałem marzenie ojców i dziadów. Jesteśmy wolni. I teraz nie jest bluźnierstwem anatomiczne badanie kości spróchniałych.

Podjął się go Berent. Przenikliwiec (rzeczownik w stylu Berenta, roi się bo u niego od sędziwców, ruchliwców, kędzierzawców) mozolnie wświdrowujący się w podskórne i podświadome odruchy psychologiczne, wrażliwiec na niższe i śmiesznostkowate uczucia i postępki ludzkie ściąga herosów z piedestałów. Ukazuje ich nam w plastyce niezrównanej codzienności, w podchwytach sytuacyj pełnych niedociągnięć i załamań. Demonstruje uczenie w ciężkich zwrotach przeładowanych nadmiarem dokładności, kunsztownie składanych z zawiłych mozaik językowych, jak to prostoduszna wielkość dawała się oplatać małościom, żerującym na niej, jak jemioły na dębie. Podpatrując z chytrym uśmiechem wszechwiedzy o życiu, jak szakale ciągną tropem lwów. I nagle otwiera okno na pełnię dramatu, na szyderstwo losu okrutne i niezawinione.

Z przedziwnem mistrzostwem prowadzi Berent umiłowaną widocznie postać Dąbrowskiego wśród kamienistej drogi, wśród zgrai niegodnej go i nie dorastającej do niego. I nagle, pomimo wszystkich śmiesznostek, drobiazgów, słabości wielkiego wodza, „żołnierza udanego“ wyrasta przed nami ta postać w całym swym tragizmie i bohaterstwie, w tragizmie, którego nie osłabia rozpięty mundur i wlokąca się szabla obstarnego generała.

Tu już nic niema ku pokrzepieniu serc. Ze starych skrzyń z dokumentami, z kart pożółkłych i poprzegryzanych przez myszy, wyciągnął autor świadectwa zawiści, zła, upadku ludzkiego. Wyciągnął dowody nieudolności, osobiste względy, wiekuistą kapryśność opinji ludzkiej. Postawił to wszystko w świetle chaosu, w jakim rodzą się epoki, nie dał żadnego komentarza wolnej woli i siły wyższej, która te wszystkie powikłane i krzywdzące rachunki życiowe gdzieś wyrównywa.

Jeden tylko idealizm opromienia ten kalejdoskop ponury, to kłębowisko wielkich umiłowań i wielkich namiętności: część dla kultury. Jako prawdziwy akademik, Berent dwukrotnie stawia przed oczy obraz posiedzeń Towarzystwa Przyjaciół Nauk, podkreślając jego zasługi. Podkreśla zainteresowania kulturalne i duże wykształcenie Dąbrowskiego. Opisuje jego starania, by młodzi legjoniści w Italji mogli kształcić się dalej. Wreszcie cytuje świadectwa, że młodzi ci ludzie po powrocie do kraju wnieśli ożywienie nietylko patrjotyczne, lecz i umysłowe do osowiałej Warszawy.

Poznajemy wszystkie odwrotne strony medalów: i niemieckie wychowanie Dąbrowskiego, i podłość niektórych ziomków, miotających oszczerstwa na „kondotjera“, i narzucone ciemiężycielstwo ciemiężonych, którem wysługiwać się musieli Napoleonowi, wzamian za mgliste obietnice przywrócenia państwa polskiego. Pomimo „odbronzowienia“ do pewnego stopnia, pomimo przykrojenia olbrzyma dziejowego do pospolitej miary, nie tracimy sympatji do prostakowatego, czerwonego na twarzy, poczciwego i cokolwiek sentymentalnego Dąbrowskiego.

Ale w ujęciu takiem odbiła się cała nowsza epoka. Jakże to dalekie od epickiego rozmachu Sienkiewicza z jego nasileniem stron dodatnich, jakże daleko już od rozdźwięcznego, ale jeszcze pełnego tragicznego patosu romantyzmu Żeromskiego.

Berent mozolnie stara się uchwycić rzeczywistość. A gdzież ona jest dla realisty, jeżeli nie w załamaniach, krzywiznach, niedociągnięciach, małościach i słabościach człowieka? Wszakże to wszystko właśnie daje ton życia, jak domieszka innych tonów tworzy ton zasadniczy. Niema u Berenta jednolitych posągów z jednej bryły. Są figurki z pstrej plasteliny, zlepione z kawałków różnych kolorów. Iście Szekspirowska recepta na człowieka, zestawionego w równych dozach z małości i wielkości.

Robota „igrca“ z bujnego renesansu, który tworzy widowisko, wskrzesza umarłe postaci historji, przypatrując się im ze sceptyczną drwiną, dobierając się im do trzew, by je odsłonięciem niższych pobudek skompromitować.

Ten mozół cyzelerski, pełen rozmysłu i przenikliwego sądu jakże daleki jest od polotnego liryzmu, od rwącej pasji Żeromskiego, od harmonijnej żywiołowości Reymonta! Zbiegł się ten kunszt razem z „Gaya Scienzia“ Nietzschego ze współczesnym witalizmem, rozsmakowywaniem się we wszelkich objawach, bez wartościowania tychże objawów. Czuć, że Berent oddaje hołd niepatetyczny i jasno niesformułowany Dąbrowskiemu. Ale czuć też, że z rozkoszą, z uciechą renesansową z rozmaitości zjawisk bawi się sarabandą to jurnych, to chciwych, to ambitnych uczestników tragedji Dąbrowskiego.

I co najciekawsze: historycy nasi i nasza legenda nie zastanawiała się dłużej nad bolesnym konfliktem między Rzymem, zdobywanym wtedy przez wojska Napoleona, a legjonami, w których fermentował niejednokrotnie duch jakobiński. Niedaleko bo w owe czasy było od teroru, konwentu, deklaracji praw człowieka i obywatela. Dąbrowski chciał skorzystać z rewolucji ogólnoludzkiej dla celów narodowych. Ale stało się tak, jak z III Międzynarodówką: narody, które dla niej wyciągały kasztany z ognia, same pod względem narodowym nic nie skorzystały. I trzebaż było aż Berenta, żeby konflikt między walką narodową a wiernością dla Kościoła tak jaskrawo podznaczyć...

Czy nie sojusz z armją bądźcobądź wolterjańsko-jakobińską zaciężył na losach wybranego przez dzieje wojownika, predestynowanego do zwycięstw Dąbrowskiego?

Z otrząsem mimowolnym zamykamy książkę. Nie, jeszcze nam potrzeba przez dłuższą chwilę wiązać zerwaną prawie nić tradycji, upoić się bohaterstwem naszych poprzedników. Jeszcze może nie czas ich odbronzowiać z ironicznym humorem...

A. Zahorska.

PROF. EDMUND JANKOWSKI: Zielona szata domów i altan — Warszawa 1935, cena 1.80 zł, z 17 ilustracjami.

Nawet ubogi i skromny domek staje się piękniejszy i powabniejszy, gdy go okrywa bogaty płaszcz z roślin — na wiosnę czerwonawy, w lecie zielony, a jesienią złocisto-żółty lub purpurowy. Pod zielenią pnączów można ukryć zbyt gładkie lub brzydkie ściany, a nawet skromny ganeczek zamieni się na miłe i urocze miejsce wypoczynku.

Autor, doświadczony praktyk i zasłużony propagator ogrodnictwa w Polsce, gorąco zaleca ozdabianie roślinnością murów, altan i ogrodzeń oraz zbija mylne przekonanie o zawilgacaniu ścian przez zieleń. Dzieje się właśnie odwrotnie — rozrośnięte rośliny, potrzebując gwałtownie wody, wypijają ją z najbliższych warstw ziemi i w ten sposób przyczyniają się nawet do osuszania budynków. Godna uwagi i całkowitego polecenia książeczka.

HUMOR I SATYRA

Z ŻYDOWSKIEGO ŚPIEWNIKA

A NASZE ROTE

Nie rzucim żemie, gdzie nasz ród
Rządzi tak wszystkiem śmiele,
Judasza plemię my i wrzód
Na zdrowem Polski czele.
Czas, by na Polskę przyszedł kres
Tak pomóż P. P. S.!



Do same serce wbijem nóż,
W pierś naszej karmicielki,
Aż się zamieni une już
Na jeden kahał wielki.
My potrzebujem krwi i łez,
Tak nam dopomóż bies!
Nie wezmą goje nas za twarz,
Choć złość ich już przenika,
Wodzem nam Trocki będzie nasz
I Perle z „Robotnika"!
Niechaj na Polskę szczekać pies,
Tak pomóż P. P. S.!

JAK TO NA WOJENCE ŁADNIE



Jak to na wojence ładnie,
Gdy intendent buty kradnie...
Idzie żołnierz boso w biedzie,
Pan intendent w auto jedzie!
Jak wojenka, to wojenka,
Chleb ze słomą, zupa cienka,
Żołnierz codzień spuszcza pasa,
Pan intendent niby fasa!
Owsa, siana, ani znaku,
Gra muzyka do ataku,
Słyszy trąbkę konik wierny,
Taki chudy i mizerny.
Radby w ogień nieść ułana,
Lecz nie dostał dzisiaj siana,
Grzebie nóżką, z głodu pada
I skończyła się parada.

Pochłania go ziemia święta,
Z łaski pana intendenta!
Idzie żołnierz lasem, borem,
Napół nagi, lecz z humorem,
Przyodziewki wiatr podwiewa,
A on piosnkę sobie śpiewa.
O tym draniu intendencie,
Co to ma sumienie w pięcie
I nie myśli o przydziale,
Co nań czeka w kryminale:
Furda! Wszystko się pokryje,
Ręka z rękim zawsze myje.
Czy to w sądzie, czy w urzędzie
Siedzą w Austrji żydy wszędzie,
Swój przed swoim cię obroni,
Choćbyś ukradł i sto koni!

WIELKA RÓŻNICA.

— Zamężna czy panna? — pyta sędzia.

Kobieta-świadek wzdycha.

— Panna — dyktuje sędzia.

— Żonaty czy kawaler? — pyta skolei świadka.

Świadek wzdycha ciężko.

— Żonaty — dyktuje sędzia.

UKŁAD MAŁŻEŃSKI.

— Jak ci idzie w małżeństwie?

— Doskonale!

— A ludzie mówią, że jesteś pod pantoflem!

— Bajki! Zawarłem z żoną układ. W parzyste dnie ona robi co chce, a w nieparzyste ja robię, co ona chce.

ZŁOŚLIWY.

— Moje studja kosztowały pięć tysięcy złotych.

— To pani niewiele za tyle pieniędzy otrzymała!

SZCZEROŚĆ.

Pan do lokaja: Józefie! Tu czuć wódkę.

Józef: Proszę jaśnie pana, to ja brałem na bolący ząb.

Pan: Dawno cię już boli?

Józef: Od maleńkości, proszę jaśnie pana.

ZAMYŚLONY PROFESOR.

Profesor pracuję. Zatopiony w swych wyliczaniach, zapomniał o świecie. Do gabinetu wschodzi służąca i mówi:

— Proszę pana, przyszedł jakiś człowiek z drewnianemi nogami.

— Proszę mu powiedzieć, że nie kupię...

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Szczęśliwy ten, kogo prawda uczy, nie przez znaki i słowa przemijające, lecz sama przez siebie, ukazując mu się taką, jaką jest w sobie.

Pojęcie nasze i zmysł nasz często nas omyla i mało widzi.

Na co się przyda zaciekanie się w rzeczach zakrytych i niepojętych — kiedy w dzień sądu nie oskarżą nas o to, żeśmy się nie znali?

Wielki to nierozum, iż zaniedbawszy rzeczy pożyteczne i potrzebne, uganiamy się zatem, co jest ciekawe, a niebezpieczne. Mamy oczy a nie widzimy.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

WSPOMNIENIA Z PIELGRZYMKI DO RZYMU

Gdy się jedzie pielgrzymką do Rzymu na Wielki Tydzień, jest się tak usposobionym uczuciowo, że ucieka spod obserwacji Rzym starożytny, Rzym średniowieczny nawet, a cała siła przeżyć koncentruje się na obchodzie Wielkiego Tygodnia, o ile jeszcze ma się szczęście być dopuszczonym do kaplicy Sykstyńskiej na wielkopiątkową procesję. Obraz takiej procesji wzrokowo niema sobie równego, a uczuciowo jest połączenie dostojności kościelnej, z potęgą Boską aż do najwyższego napięcia. Toteż ta chwila była kulminacyjną w naszej pielgrzymce. Wielka Środa i ranek Wielkiego Czwartku były poświęcone odwiedzaniu kościołów, w które Rzym jest tak bogaty; niestety, chybia to celu w Wielkim Tygodniu, ponieważ nietylko krzyże, jak u nas, ale wszystkie obrazy i wszystkie rzeźby są zakryte. Niema się więc żadnych artystycznych wrażeń, zaś modlić się niesposób, bo trzeba śpieszyć dalej, by obliczony czas pielgrzymowania jaknajlepiej wyzyskać i jaknajwięcej pokazać ludziom żądnym oglądania.

Kto jednak w Wielki Czwartek poświęci całe popołudnie, t. j. od 4 do 7 wieczór na kościół św. Anzelma przy klasztorze benedyktyńskim, na Awentynie, ten będzie wynagrodzony przebogato wsłuchując się w śpiewy Gregorjańskie, oddające melodją tak przejmująco całą Passyję Pana Jezusa, że jest to jakby kolorowy obraz, malowany śpiewem. Kto tego śpiewu nie słyszał, ten pojęcia mieć nie może, że jest możność wyrażenia głosem uczucia trwogi i męki w ogrodzie Oliwnym, uczucia litości i miłości w wersecie „Ludu mój ludu", poddania się wyrokom boskim w ostatnich słowach na krzyżu. Chciałoby się razem z tym chórem krzyczeć: „nie biczujcie, nie katujcie, otrzyjcie krew z czoła Chrystusowego", prawie że przechodzi się mękę konania, tak ten śpiew jest przejmujący i tragiczny. Wychodzi się stamtąd bez sił, rozdygotany bólem i prawie że namacalnością męki Chrystusowej; długi czas niezdolnym się czuje do przyjęcia nowych wrażeń; dobrze, że prosto z kościoła wracamy do domu, by uspokoić duszę i uporządkować myśli.

Wielki Piątek.

W Wielki Piątek rano, o 9-ej, w czarnych przepisowych sukniach, szczelnie pod szyją zapiętych, z długiemi rękawami i czarnych welonach na głowie udałyśmy się do Watykanu na procesję wielkopiątkową. Przez wspaniały podwórzec św. Damazego, obszernemi marmurowemi schodami, mając po obu stronach halabardników, w malowniczych strojach średniowiecznych, wprowadzono nas do sali Królewskiej. Jest to ogromna, bardzo szeroka galerja, mająca na jednym swym końcu kaplicę papieża Pawła III, na drugim zaś kaplicę Sykstyńską. Obie te kaplice są przeznaczone wyłącznie na obchód uroczystości wielkotygodniowych, pogrzeby papieży, konklawe, i błogosławieństwo Złotej Róży. W kaplicy Sykstyńskiej jest najpełniejszy zbiór arcydzieł Michała Anioła, Ghirlandaja i Boticellego. Zająwszy miejsca w pierwszym rzędzie, wzdłuż balustrady, odgradzającej środkowe przejście, zamieniłyśmy się tylko we wzrok, bo już zaczęła się ustawiać gwardja papieska w białych, obcisłych spodniach, ciemno-zielonych dolmanach i wielkich futrzanych bermycach na głowie. Niejedna z tych głów przedstawiała sobą wspaniały typ Rzymianina o klasycznych rysach, pięknych, czarnych oczach i energicznie wystającej dolnej szczęce. Biedacy pocili się przeraźliwie w owych futrzanych czapach, obowiązani do bezustannego prezentowania broni, gdy zaczęli kolejno wchodzić ambasadorowie w paradnych mundurach, z żonami, w skromnej czerni, posłowie z personelem, szambelanowie papiescy, z hiszpańska przyodziani, w pelerynkach na ramionach, w żabotach i krezach ze wspaniałych starych, prawdziwych koronek.

Cicho i skromnie szedł patrycjat rzymski. Dwór nie brał udziału w tej procesji. Wszystko to skierowało się do kaplicy Sykstyńskiej, by uformować uroczysty pochód do kaplicy Paolińskiej, gdzie był Przenajświętszy Sakrament. Więc najpierw 6 halabardników w strojach atłasowych, żółto granatowych, potem szereg księży, i chłopców służących do Mszy w białych komżach, potem kardynałowie w purpurowych pończochach i pantoflach, w płaszczach fałdzisto spadających na plecy i purpurowych myckach, za nimi przeorowie wszystkich zakonów w swych habitach różnokolorowych, potem patrjarchat obrządków wschodnich, wreszcie 6 kamerlengów papieskich w czerwonych, aksamitnych, krótkich ubraniach i... skromna biała, cicha postać Ojca św., duchowo daleka od całej tej pompy. Za papieżem szambelanowie, ambasadorowie wszystkich państw i patrycjat rzymski, zamykali pochód. Wkrótce w tym

samym porządku ukazał się nam pochód powrotny, z tą tylko różnicą, że na samym przedzie szedł chór kaplicy Sykstyńskiej, rozśpiewany swemi przedziwnemi głosy, a nad Ojcem św. 6-ciu ponsowo ubranych kamerlengów niosło rozpostarty baldachim. I wtedy sprzed oczu naszych znikło wszystko, cała ta światowa parada, cała barwność pochodu, a widać było tylko drobną, białą postać, niosącą we wzniesionych rękach Przenajświętszy Sakrament. Ludzie na klęczkach trwali wśród niezmąconej ciszy. Z niejednej duszy szloch się wyrwał serdeczny i... wszystko znikło w drzwiach kaplicy Sykstyńskiej. Widzenie pierzchło. Teraz tam, w kaplicy, rozpoczęły się wielkopiątkowe, przez Ojca św. odprawiane obrzędy, których my już, niestety, nie widzieliśmy. W wielkiem skupieniu, przeszło godzinę czekaliśmy zakończenia uroczystości i wyjścia wszystkich wysokich osób, dość pośpiesznego. Była 2-ga popołudniu! Na ostatku wynieśli na sedji białą postać papieża, ze wzniesioną do błogosławieństwa ręką. Popołudnie Wielkiego Piątku poświęcone było zwiedzaniu katakumb i Via Appia. O katakumbach tyle mówiono i pisano, że ja podniosę jedno tylko uczucie dominujące: oto ta prostota i pokora prawdziwie chrześcijańska! Nigdzie nazwiska żadnego, na wprawionym w mur kamieniu krzyż, czasem ryba, czasem palma męczeńska, owieczka, jako pielgrzym na tej ziemi, gołąbka; leżą chrześcijanie bezimienni, wszyscy równi wobec śmierci, pod jednym tylko znakiem **Chrześcijaństwa.** Jakiż to majestat mają w sobie prości dawni ludzie, majestat powagi i szlachetności, jak dużo nieraz możnaby się od nich nauczyć, gdyby człowiek dzisiejszy chciał do prostoty pierwszych wieków powrócić. Te myśli zaprzątnęły mnie, gdyśmy wychodzili z podziemi, by iść pieszo wzdłuż drogi Appijskiej.

Droga na Via Appia.

Piękny, ciepły, spokojny wieczór schodził na grobowce usiane wzdłuż drogi i na cyprysy stojące jak na warcie i, mimowoli, oko nasze szukało postaci św. Piotra i postaci Chrystusa, którzy się tu spotkali: jeden uciekający od ciężaru obowiązków i Drugi, idący, by dobrowolnie ten ciężar ponieść, aż do śmierci krzyżowej! Uciszyły się rozmowy, każdy szedł zamyślony, może w niepokoju sumienia bał się usłyszeć słowa Chrystusowe: Venio Romam iterum crucifici. Ileżkrotnie uciekamy od obowiązków naszych, ileż razy lekko traktujemy bliźnich naszych, ileż drobnych nieraz wykroczeń i tak rzadko dochodzi do świadomości naszej ta niezmierna gotowość Chrystusa cierpienia za winy nasze. Dobrze, że w ten Wielki Piątek takiem rozmyślaniem i takiem wrażeniem zakończyła się wędrówka nasza, po katakumbach; następne wrażenia nie zdołały tego zatrzeć.

Wielka Sobota.

Wielka Sobota była dniem audjencji u Papieża. Więc znów w czerni, zawoalowane, panowie, w czarnych marynarkach i krawatach, przeszliśmy przez znany już nam podwórzec św. Damazego, prowadzeni przez wspaniałą postać polskiego prałata Meysztowicza. W purpurowym płaszczu, z orderami polskiemi na piersi, prowadził za rękę, z jednej strony małego Tyszkiewicza, całego w bieli, z drugiej strony może dwunastoletnią Tyszkiewiczównę w białej krynolince do ziemi i w welonie z wianuszkiem białych kwiatków na głowie. Śliczne to było skojarzenie tej purpury i powagi z temi dziećmi. Wprowadzono nas do antykamery pięknie freskami malowanej i kazano usiąść na ławkach, wzdłuż ścian, w oczekiwaniu na audjencję. Tak minął nam czas od 12 do 1-ej. Poczem wszedł przyodziany w czerwone, aksamitne, krótkie ubranie kamerlengo papieski i ruchem ręki zaprosił nas do sali audjencjonalnej. Wybita cała czerwoną materją olbrzymia sala ma pod ścianami ławki również czerwono obite, a pod główną ścianą, na wzniesieniu tron pod baldachimem; wszystko czerwone złotą frendzlą przybrane. Za nami zamknęły się drzwi. Prałat Meysztowicz znikł gdzieś w dalszych komnatach, a nas zaczął ów kamerlengo ustawiać do audjencji. Jest to cała strategja i tylko człowiek bardzo wprawny może tak rozwinąć z pielgrzymów węża, tak misternie go skręcić i przesunąć, aby Ojciec św. mógł raz tylko wzdłuż owego węża przejść i każdemu z uczestników pielgrzymki kolejno dać pierścień do ucałowania. To ustawianie trwało ze 20 minut, a gdyśmy byli gotowi, kamerlengo otworzył wielkie, podwójne drzwi i wkrótce potem ukazał się w nich Ojciec św. w towarzystwie prałata Meysztowicza. Wszyscyśmy padli na kolana, każden wzruszony, do ostatnich granic i Ojciec św. zaczął swą wędrówkę, zatrzymując się przy każdym pątniku krótką chwilę. Rozdygotane ze wzruszenia ręce chwytały tę dłoń cudowną, dotykały jej ustami i trudno było się z nią rozstać, coś za gardło chwytało, a łzy jak groch sypały się z oczu. Ale oto Papież wchodzi na tron i zaczyna mówić głosem cichym i zmęczonym. Mówi bardzo krótko; stoję tak daleko, że nie słyszę nawet tego, co prałat Meysztowicz tłumaczy, jestem tak wzruszona, że nie rozumiem nic i dopiero głośne Ojca św.: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" budzi mnie z oczarowania. Gromkiem „Na wieki wieków" żegnamy schodzącą z tronu postać, poczem prałat Meysztowicz intonuje zwrotkę „Boże coś Polskę".

Audjencja skończona i cel wycieczki do Rzymu jest już przeszłością! Każde z nas marzy wychodząc, kiedy znowu będzie można do tego uroczego miasta pojechać i te podniosłe chwile raz jeszcze przeżyć.

A. Mińska.

GIMNAZJA ZAWODOWE

Bardzo ważną dla Rodzin Polskich wiadomość czytamy w pismach i natychmiast dzielimi się tem z naszemi Czytelniczkami. A mianowicie: Od września roku bieżącego, mają być już otwarte pierwsze klasy w gimnazjach: kupieckich mechanicznych, elektrycznych, krawieckich i bieliźniarskich.

Do gimnazjów tych będzie mogła zapisywać się młodzież po ukończeniu 6 klas szkoły powszechnej, z tem jednak nadmienieniem, że młodzież wstępująca do gimnazjów przemysłowych, będzie musiała jeszcze zdawać egzamin z rysunków.

Młodzież kończąca gimnazjum zawodowe, będzie miała te same uprawnienia w państwowej służbie cywilnej i wojskowej, jakie mają kończący gimnazja ogólne.

Nieobliczalne korzyści w dziedzinie naszego handlowego stanu, praktycznego wyrobienia, zdobycia łatwiejszego pracy, dadzą niezawodnie te zmiany. Handel nasz, niemoże wiecznie zostawać w obcych rękach. Czy jesteśmy mniej zdolni, czy mniej wytrwali, czy mniej pracowici?

Ani trochę! Zdumienie budzi sprawność naszego robotnika, gdziekolwiek się na świecie pojawi. Zdumienie budziło wśród zwiedzających świetną Poznańską Wystawę Krajową, nasze rzemiosło, nadewszystko nasze wagony, które cudzoziemcy z podziwem oglądali. Gimnazja Zawodowe przyniosą niezawodnie wielkie w kierunku wychowawczym ułatwienia. Może będziemy mniej ogólnie wykształceni, ale że stworzą z nas te szkoły, bojowników o praktyczne życie i polepszą ogólny dobrobyt — to niezawodne.

Jeżeli uczeń z gimnazjum zawodowego wyjdzie ze stopniem czeladnika, cóż to za przewrót w etapach jego życia, jakież błogosławione udoskonalenie w formie i czasie. Ogromnej doniosłości dzieło dokonali ci, którzy tę reformę przeprowadzili. **M.**

PAMIĘTNE CHWILE

VI ZJAZD DELEGATÓW LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ W GDAŃSKU, NA BORNHOLMIE I W GDYNI

Mszą św., odprawioną dla uczczenia pamięci Marszałka Piłsudskiego, w polskim kościele przy ulicy Neugarten, zaczynaliśmy w Gdańsku — nasze zebranie programem objęte.

Na czele zajęli miejsca Wojewoda, Komisarz generalny R. P. w Gdańsku, minister Dr. K. Papée i Generał G. Orlicz-Dreszer. Świątynię wypełniały delegacje przybyłe ze wszystkich województw Polski w liczbie przekraczającej siedemset osób.

Na ambonę wszedł J. E. ks. Biskup Okoniewski, przybyły na tę uroczystość z Pelplina. Świetny mówca i gorący patrjota, na bardzo pięknym motywie oparł swe niedługie ale pełne wzniosłej treści przemówienie. Śmierć — nie mija nikogo — komu życie dano. Chrystus — umarł, ale zostawił uczni swoich. Zostawił miłujących Go Apostołów, którzy nieśli po świecie słowa Jego, żywe po tysiącach lat, przemienione często w ofiarę ale zawsze zwycięskie.

Cały naród winien być spadkobiercą dzieła, które zrodzone w najwyższej miłości Ojczyzny — dokonało niemal cudów.

Istotnie! Czy lat temu, bodaj kilka, myśleliśmy, że oto, tu, w Gdańsku, będziemy dokumentowali swoje: jestem. Że będziemy się zjeżdżali na obrady nad zwiększeniem naszej floty: wojennej, handlowej, rybackiej. Nad wykorzystaniem każdego skrawka — niewielkiego brzegu morskiego, który jest nam wrotami na cały świat, ale u którego granic niemamy przyjaciół.

Po nabożeństwie — zebraliśmy się w wielkiej sali Stoczni, gdzie na pięknię udekorowanem podwyższeniu zasiadali przedstawiciele Zjazdu, mając za tło szkarłatną ścianę, na której pięknie rozpostarły się skrzydła naszego Orła białego. Na przodzie popiersie Marszałka, otoczone zielenią ze srebrnym wieńcem u podnóża.

Generał Dreszer zdawał sprawozdanie, z czasu dwuletniej rozłąki, naszej gromady, którego myślą przewodnią było utrzymanie naszego wybrzeża w należytym rozwoju. Oczywiście kładł nacisk na zbiorowy wysiłek każdego, kto czuje się polakiem, przedstawiał niezliczoną ilość potrzeb na jakie czeka port i miasto Gdynia, mówił z przeświadczeniem, że usilna praca podołać musi zadaniom, które od swego poczęcia wydały się — nad siły ludzkie, a jednak z niezmożoną wolą i Bożą pomocą, idą naprzód, rosną i spełniają swe zadania przynosząc chlubę — narodowi.

Zabierając powtórnie głos Generał wezwał zgromadzonych do składek — na łódź podwodną imienia Marszałka Piłsudskiego: W odpowiedzi gotówką i deklaracjami wpłynęło natychmiast 30.000 złotych polskich. Fakt, który nie potrzebuje komentarzy.

Po skończonych obradach w niezmąconym porządku, wyruszył pochód do Komisarjatu Rzeczypospolitej, gmachu — stojącego naprzeciw Senatu Gdańskiego.

Drogę nam torowały liczne polskie sztandary, za którymi bezpośrednio szli wojskowi. Delegatki Oddziału kobiet w mundurach i grupa umundurowanych marynarzy, za którymi kilkuset delegatów w marynarskich czapkach i reszta przybyłych na Zjazd. Szliśmy czwórkami z powagą, widząc jednak na murach domów, parkanach i gdzie się dało, napisy na białych kartkach: „Danzig bleibt immer Deutsch", — pozatem szeregi skautów i publiczności w zupełnej ciszy. Na pięknem asfaltowem podwórzu gmachu, zebraliśmy się wszyscy. Balkon parterowego wejścia był mównicą, na której Generał Dreszer składał w ręce Komisarza Generalnego R. P. p. ministra K. Papée tablicę pamiątkową z okazji 15-lecia odzyskania dostępu do morza. Minister Papée, w odpowiedzi przypomniał czyny wielkich królów naszych Batorego i Sobieskiego, poczem czytaliśmy na odsłoniętej przez Generała Dreszera tablicy, następujący napis:

„W roku żałoby po zgonie Wodza Narodu Józefa Piłsudskiego, z którego rozkazu bandera polska pojawiła się po długiej przerwie na Bałtyku, dla upamiętnienia 15-tej rocznicy odzyskania przez polskę wolnego dostępu do morza — VI Walny Zjazd Delegatów Ligi Morskiej i Kolonjalnej, obradujący u ujścia Wisły, tablicę tę wmurował.

Działo się w dniu 1 czerwca 1935 r., gdy prezydentem Rzeczypospolitej był prof. dr. Ignacy Mościcki, prezesem Rady Ministrów pułk. Walery Sławek, a Komisarzem Generalnym R. P. w w. m. Gdańsku, minister Kazimierz Papée."

Odśpiewaniem hymnu narodowego zakończyły się te podniosłe chwile, poczem 820 osób z portu polskiego wsiadło na piękny statek „Kościuszko" i popłynęło do wyspy duńskiej Bornholm w dniu 1 czerwca o godz. 6 po południu.

BORNHOLM.

Na statku, nietylko się bawiono. Na statku 13 komisji obradowało.

Wyspa Bornholm bardzo malownicza, zazwyczaj przez cudzoziemców chętnie odwiedzana, posiada doskonałą plażę. Znakomita szosa pozwala wygodnie autami zwiedzić okolicę. Jeziora i lasy, piękne wsie i miasteczka, które czystością zachwycały, mijało się z żalem. Wszędzie piękne ogrody, kwiaty w oknach. Gospodarstwa rolne w wysokiej kulturze. Setki bydła dobrze utrzymanego, drobiu bez liku, w wielkich siatkach na łąkach ze spokojem nam się przypatrującego. We wsiach nad morzem położonych liczne porty rybackie. Zabudowania gęste. Wyspa liczy 46.000 mieszkańców i skały, więc miejsce szanuje. A uprzejma gościnność, radosne wzbudzała w nas uczucia.

Auta przybrane naszemi barwami. Sklepy otwierane na nasze życzenie. Dzieci witające nas całemi gromadkami. Przy odjeździe, motorówki duńskie i kutry wypłynęły na morze a śpiewy młodzieży, dobre życzenia, radosne uśmiechy — towarzyszyły nam jeszcze nawet wtedy, kiedy już rozdzieliły nas przyjazne fale morskie. Noc znów zgromadziła nas w komisjach.

W GDYNI.

Punkt o 7-mej rano przybiliśmy do brzegu basenu w Gdyni. Sala na dworcu udekorowana wspaniale flagami i zielenią. Od stołu prezydjalnego witał gości Komandor Poznański i wojewoda Sokór, prasa licznie reprezentowana. Obrady w toku.

Oczywiście uchwały dotyczą zwrócenia się do Rządu z prośbą o otoczenie jak największem staraniem obrony morskiej i rozbudowy marynarki wojennej.

Pułk. Andrzejewski stawia wniosek, przyznanie z pożyczek inwestycyjnych odpowiednich kredytów — na najpilniejsze potrzeby portu. Członkinie oddziału Kobiet p. Anna dr. Ronet deklaruje na ten cel pierwsze 100 zł. polskich, pożyczką inwestycyjną. Wpływa wniosek zorganizowania Instytutu Morskiego. Budowy własnej stoczni. Wszystkie wnioski znajdują gorące echo, wśród zgromadzonych.

Zjazd uchwalił w podzięce za pracę w Zarządzie L. M. K. Generałowi Orlicz-Dreszerowi dać godność członka honorowego. Z żołnierską prostotą — prosił Generał o odroczenie tej uchwały, bo na dziś woli od zaszczytu wspólną pracę dla spraw dotyczących Morza.

Na zakończenie wysłano depesze do p. prezydenta Rzeczypospolitej, do Ignacego Paderewskiego i do generalnego inspektora sił zbrojnych jenerała Rydza-Śmigłego.

VI Walny Zjazd Delegatów był dokumentem gorącego umiłowania sprawy, która jest przyszłością rozwoju państwa i chlubą dla narodu.

L. K.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA „PIEŚŃ O DOMU"

Zarząd Główny Związku Pań Domu w dniu 29 maja r. b. zatwierdził ostateczne rozstrzygnięcie konkursu na „Pieśń o domu".

W 1930 r. pierwszy wielki Zjazd Pań Domu w Warszawie podjął myśl posiadania własnej pieśni Związku, a urzeczywistnienie tego zamierzenia przeprowadził Zarząd Gł. drogą szeregu konkursów.

Wynikiem pierwszego konkursu na słowa do pieśni o domu było nadesłanie 59 utworów, z których nagrodzono utwór poetycki Kazimierzy Iłłakowiczówny oraz wyróżniono trzy inne: pióra Janiny Tomaszewskiej-Malanowskiej, Jerzego Świrskiego i Janiny Wasilewskiej.

Konkurs na melodje do nagrodzonego utworu nie dał pozytywnych wyników.

Wobec tego w 1934 r. ogłoszono powtórny, konkurs z rozszerzeniem na wyróżnione utwory i otrzymano 17 kompozycyj. Jury złożone z Zarządu Głównego Zw. P. D. i profesora St. Niewiadomskiego, wyróżniło 3 utwory: nr. 2 godło „Patria", nr. 5 godło "Silva" i nr. 9 godło X-42, które wykonał chór żeński „Odrowąż" na Zjeździe Związku Pań Domu w Krakowie.

Drogą plebiscytu wybrano utwór nr. 5 godło „Silva" do słów Tomaszewskiej-Malanowskiej, kompozytorem którego, po otwarciu koperty, okazał się p. Edward Poniecki z Wejherowa.

Przyjęta „Pieśń o Domu", pióra Tomaszewskiej-Malanowskiej z melodją p. Edwarda Ponieckiego, staje się pieśnią Związku Pań Domu.

Inauguracja tej pieśni odbędzie się na jesieni we wszystkich Oddziałach Zw. Pań Domu.

ŁAD W DOMU

Porządek nie polega tylko na tem, aby zetrzeć kurz na półeczce, ale głównie na tem, żeby go nie było — pod półeczką.

* * *

Mieszkanie należy systematycznie wietrzyć trzy razy na dobę. Rano, przy sprzątaniu. Po obiedzie i wieczór przed spaniem.

Czystości wymagać od domowników, ale dawać przykład, zaczynając czystość — od siebie.

* * *

Choćby grosz jeden, ale codzień składać, aby, gdy uzbiera się złoty — zanieść go do Pocztowej Kasy Oszczędności.

M.

ZE „ZWIĄZKU PAŃ DOMU"

W dniach 27 i 28 maja r. b. Związek zorganizował łącznie z Radą naczelną gospodarczego kształcenia kobiet II kurs dla doradczyń gospodarczych, mających na celu przygotowanie do pracy społecznej, nad podniesieniem gospodarstw domowych. Kurs połączony był ze zwiedzaniem Wystawy małych domków na Kole i z pokazami z zakresu organizacji i towarzystwa.

W lokalu Związku, Nowy Świat 9 odbył się w dniach 17, 20, 23 i 24 maja r. b. kurs, organizowany przez Związek dla praktykodawczyń. Kurs ten jest przygotowaniem dla pań, które na terenie swych gospodarstw przeszkalać będą praktycznie słuchaczki kursu dla pracownic domowych, który zorganizują państwowe władze oświatowe.

W dn. 3 czerwca r. b. w lokalu I miejskiej Szkoły rękodzielniczej, Kazimierzowska 60 odbył się konkurs gotowania na gazie, urządzony przez gazownię miejską i Związek pań domu. W konkursie wzięło udział 8 pań. Za największą sprawność i oszczędne zużycie gazu rozdane były nagrody.

Pokazy środowe poświęcone były w związku z sezonem wiosennym — przyrządzaniu potraw jarskich i surówek. Wydział kursów przyjmuje zapisy na 2-lekcjowy kurs przyjęć wykwintnych i na kurs przetwórstwa owocowego.

Wydział robót ręcznych prowadzi w każdy poniedziałek lekcje robót. Na najbliższych lekcjach panie wykonywać będą żaboty, kwiaty z organdiny, torby na plaże etc. W dn. 3 czerwca w godzinach lekcji robót,pogadankę na temat „Sezonowe drobiazgi" wygłosiła p. M. Ankiewiczowa.

Wydział mieszkań i urządzeń przygotował urządzenie mieszkania 4-pokojowego na wystawie urządzeń mieszkaniowych, organizowanej przez Bank gospodarstwa krajowego na Kole.

Z powodu zgonu I Marszałka Polski ś. p. Józefa Piłsudskiego — wieczory literackie i klubowe są zawieszone, aż do odwołania.

LETNIA SUKNIA Z PELERYNKĄ

Na obecny sezon bardzo modne są suknie z wzorzystych materjałów z jednobarwnemi pelerynkami, jako dopełnienie całości.

Podajemy model takiej sukni wykonany z cienkiego, drukowanego w kwiaty, jedwabiu, w połączeniu z jedwabiem jednobarwnym, tego samego koloru jakiem jest tło sukni.



Z jednobarwnego materjału wykonana dolna falbanka koło szyi, szarfa i pelerynka.

Jako druk, modne są groszki różnych wielkości i kwiaty.

Falbanki koło szyi i u dołu sukni muszą być karbowane maszynowo.

Kapelusz, pończochy, pantofle i rękawiczki powinny być dobrane kolorem do sukni i stanowić z nią harmonijną całość.

El. Kotwicz Onichimowska.

LETNI WYPOCZYNEK

Niekażdy, niestety, będzie mógł wyjechać na wypoczynek letni z Warszawy. Otóż ci mieszkańcy, których konieczność zatrzyma w mieście, znaleźć będą mogli niebywale miłe miejsce w „Przystani" na Wiśle, która się mieści przy końcu ulicy Czerniakowskiej, do której dojeżdża się tramwajem 2 (dwójką).

Wisła nasza piękna, choć nieuregulowana, daje dziś już wiele rozkoszy tym, którzy używają kąpieli, jeżdżą swymi lub wynajętymi kajakami czy łodziami lub motorówkami. Ale „Przystań" ma te warunki, które właśnie mogą zastąpić letnie wywczasy, bo za małą opłatą, pięciu złotych, na cały sezon, można od rana do wieczora choćby — codzień, używać doskonałego powietrza, ciszy, kąpieli i na miejscu korzystać z niedrogiego bufetu.

Zwłaszcza te kobiety, których dzieci potrzebują swobody — znajdą tam doskonałe miejsce dla nich, dla siebie na wypoczynek, a jeszcze i ta dodatnia strona, że nie potrzeba ich stroić, a piasek czysty nie będzie ich brudził.

„Przystań" jest ostatnim etapem zabudowań przystaniowych — na Wiśle. Ale też wode ma dlatego czystszą i swobodę większą i gwaru miejskiego niedochodzą echa.

Dzieci od najmłodszych lat oswajać się będą z wodą. Wisłę pokochają a z czasem, statkiem dojadą do Morza, *naszego Morza*, które wyczekuje na miłość całego narodu, więc ze wszechmiar pożądane jest przebywanie ich nad wodą.

Czytelniczkom naszym polecamy „Przystań", której uroczyste otwarcie ściągnęło przed kilku dniami dużo ludzi, mogących stwierdzić, jej dodatnie strony. Świeże powietrze i oderwanie się od miasta, bodaj na kilka godzin, to skrzepienie sił fizycznych, to zdrowie, o które dbać musimy, to wreszcie i duchowy wypoczynek, bo mimowoli człowiek widzi ogrom nieba, szeroki pas wody i odwraca, choć na krótko, myśl od trosk ziemskich, czerpiąc w naturze, a więc Królestwie Bożem — odetchnienie.

CZYTAJCIE I ROZPOWSZECHNIAJCIE MIESIĘCZNIK „RODZINA POLSKA"

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

Zarząd Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet Archidiecezji Warszawskiej, zwołał zebranie prelegentek, do których przemawiała Prezeska Stowarzyszenia p. Władysławowa Zamoyska, polecając gorąco licznie przybyłym paniom ten dział pracy, który zawsze wydaje doskonałe rezultaty — to jest pogadanki popularne. Ponieważ wśród zebranych były kobiety ze studjami uniwersyteckimi, a naogół dobrze przygotowane w różnych specjalnościach, więc podział pracy łatwo się zorganizował. Życzyć teraz tylko należy, aby chęci obróciły się jak najszybciej w czyn.

P. Marja Modes-Dudrewiczowa prowadzi w Zakopanem szkołę koronkarstwa, która się bardzo dobrze rozwija. W swoim czasie napisała „Krótki zarys rozwoju koronkarstwa europejskiego", z którego dowiedzieliśmy się, że w Polsce wyrabiano koronki: w Wieluniu, w Piaskowie, w Radymnie, Bobrówce, w Rymanowie, a w Meleniowie Wielkim już przed 40 laty robiły kobiety koronki na ramkach z patyczków. Ze względu na to, że robota koronek, to właśnie taka, którą w domu wykonywać można, panie, które się zainteresują tymi robotami, kierujemy pod adres następujący: P. M. M. Dudrewiczowa — Kraków, ulica Karmelicka 32, m. 10.

Kobiety w obronie prawa do pracy. — Obecnie tocząca się w Genewie XI sesja międzynarodowej konferencji pracy rozważać ma m. in. sprawę bezrobocia młodzieży. W związku z tym punktem programu, międzynarodowa Federacja syndykatów chrześcijańskich złożyła do międzynarodowego Biura pracy petycję, w której — poza postulatami innego rodzaju — zamieszczono dwa punkty, odnoszące się do pracy kobiet. Mianowicie, że należy unormować pracę zarobkową kobiet zamężnych tak, by im „ułatwić powrót do ogniska domowego", oraz że w danym wypadku niewolno zastępować pracy mężczyzn pracą kobiet.

Wobec powyższego wszystkie organizacje kobiece międzynarodowe wystąpiły z protestem przeciw ograniczaniu praw kobiet do pracy, a organizacje krajowe poparły je wysłaniem depesz protestacyjnych. Z organizacyj polskich pierwsze wysłało protest z inicjatywy polskiego Zjednoczenia zawodowego 26 organizacyj, należących do t. zw. komitetu zjednoczonych organizacji kobiecych. Depeszę wysłano do dyrektora M. B. P. i delegata rządu polskiego, p. wiceministra Jurkiewicza.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Każdego, kto będzie musiał się leczyć, będzie zajmowała wiadomość, że ustalono taksy zmniejszone w uzdrowiskach naszych. A mianowicie:

W uzdrowiskach państwowych okres kuracyjny podzielono na 5 sezonów, mianowicie: wiosenny, letni pierwszy, letni drugi (główny), letni trzeci i jesienny. W sezonie głównym taksa kuracyjna za pobyt od 2 do 6 tygodni wynosić będzie w Krynicy — 32 zł, w Ciechocinku — 28 zł, w Druskienikach — 24 zł, w Busku — 22 zł, w Szkle — 8 zł. W sezonach letnich, pierwszym i trzecim, taksy te będą niższe o 25%, a w sezonach wiosennym i jesiennym o 50%.

Również ceny na kąpiele i zabiegi lecznicze obniżone będą, w zależności od sezonu, o 10, 20 i 50%.

Uzdrowiska prywatne i samorządowe przeprowadziły również obniżkę taks kuracyjnych.

Każda wiedzieć powinna, że najmniejszy datek, choćby groszowy, ale stały, to podstawa bytu każdej instytucji i społecznej i czysto dobroczynnej. Toteż przypominać mamy obowiązek, że równie instytucja „Dzielmy się" przy ul. Mochnackiego 11 w Warszawie, jak i „Caritas", Senatorska 31, na te drobne grosze czekają, aby nieść pomoc tym, których brak pracy pogrąża w coraz większą nędzę.

Każda z nas wiedzieć musi nad czem radzą kobiety w „Związku Pań Domu", bo tam prawdziwa jest troska o poprawę naszej gospodarki wewnętrznej w każdym domu. Otóż może uszło uwagi naszych Czytelniczek, o czem notowało się nieraz, że legitymacje dla naszych domownic są niezbędne, bo będą zawsze pewną gwarancją tego, kogo mamy w domu.

Wiedzieć trzeba i objaśniać każdego, kto się wybiera na emigrację, że nie można byle komu ufać i iść za jakiemiś przygodnemi objaśnieniami. Należy zwracać się do biura i centrali syndykatu emigracyjnego w Warszawie, który mieści się przy ul. Alberta I. Nr. 7. Każdy policjant objaśni, gdzie jest to biuro, a następnie żądać objaśnień od Inspektora do spraw emigracyjnych. Opuszczenie kraju i trudy tułaczki wśród obcych, to są rzeczy poważne, niemożna tego czynić lekkomyślnie.

Koniecznie wiedzieć należy, że Rada szkolna m. Warszawy organizuje w okresie letnim 2 kolonje dla potrzebujących wypoczynku i odżywienia dzieci szkół powszechnych. Kolonje te urządzone będą w Małkini, gdzie od lat paru są już specjalnie przygotowane pomieszczenia, co roku ulepszane, oraz — w Łomży. Pomieści się na nich w 2 turnusach 2.000 dzieci.

Półkolonje urządzone będą w 10 punktach Warszawy, pomieszczą według dotychczasowych obliczeń 12.000 dzieci. Razem więc Rada szkolna da wypoczynek 14.000 dzieci.

Liga szkolna przeciwgruźlicza organizuje kolonje lecznicze Rada szkolna — tylko wypoczynkowe) w Starej Miłośnie i Nowem Mieście dla dziewcząt i w Urlach dla chłopców, poza tem kolonję w Ciechocinku dla potrzebujących kąpieli leczniczych i w Otwocku dla wątłych na płuca.

T-wo kolonji letnich im dra Stan. Markiewicza wysyła ok. 1 500 dzieci na swoje kolonje wypoczynkowe.

Wreszcie T-wo nauczycieli szkół średnich i wyższych organizuje 4 kolonje nad morzem, na których znajdzie wypoczynek ok. 1.000 młodzieży.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Marji Biał... w Olkuszu. Niebyłoby nic dziwnego, żeby osoba z wyższem wykształceniem pokusiła się o stanowisko przodujące w urzędzie miejskim. Zagranicami kraju raz wraz czyta się, że np. p. Amelja Contingo została konsulem portugalskim w Genewie. Że katedrę chemji w Sorbonie objęła kobieta, w czem dawno wyprzedziła ją na tem stanowisku nasza genjalna uczona Marja Skłodowska-Curie. W Londynie, po raz pierwszy do Akademji medycznej, weszły dwie kobiety. W Ameryce kandydują kobiety na stanowisko prezydenta. Przecież i my mamy posłanki, senatorki i profesorki. Z chwilą, kiedy się otwarły podwoje uniwersytetów dla kobiet, muszą w konsekwencji ubiegać się o stanowiska, do których objęcia są przygotowane. Świat idzie naprzód i tego pędu do nauki, jaką wykazało ostatnie dwudziestolecie już nic niepowstrzyma. Oczywiście nie wszystkie kobiety będą kończyły uniwersytet. Ów pęd — jaki dziś jest w tym kierunku — zmieni się niezawodnie, przyjdą inne szkoły zawodowe, które odciążą, najwyższe uczelnie. Ale nauka będzie koniecznością i da słuszne prawo — zajmowania odpowiedzialnych stanowisk.

Pannie Wandzi w Piotrkowie. Moda, dziś jest tak różnorodna, że nic łatwiejszego jak się ładnie a niedrogo ubrać. Modne są gładkie, angielskie sukienki: spodniczka, bluzka i żakiet krótki lub pół długi. Modne całkowite sukienki z pelerynkami małemi i dłuższemi. Modne krótkie rękawki i wycięte okrągło szyjki. Ale modne i długie rękawy bufiaste od ramienia, obcisłe od łokcia. Modne materjały gładkie. Bardzo modne w kropki małe i duże, czarne, białe i kolorowe. Modne, bardzo modne płótna różnego typu. Cienkie, grube, białe i szare, zdobne haftami ludowemi, których wzory znajdą panie w naszych rocznikach. Pani Stefkowa skrzętnie je zbiera, notuje i nam je zaleca. Słowem rozmaitość wielka, jest w czem wybierać, bacząc jednak, aby każdym sprawunkiem kierował rozważny namysł, bo wydać łatwo, ale poniewczasie spostrzec się, że się źle coś sprawiło — to przykro.

P. Zofji Kisiel... w Radomiu. Bardzo radzimy osiąść w **Orłowie**, jeśli się chce bezwzględnego spokoju, jak o tem łaskawa Pani wspomina. Ale i **Rozewie** i **Jastrzębia Góra** prześliczna i **Hallerowo** — to wszystko miejscowości doskonałe dla wypoczynku. Z całym spokojem polecić także możemy jako miejsca letnich wywczasów **Chojnice**, w których za pięć złotych dziennie można dostać dobry pokój z pościelą i całkowitem utrzymaniem. W bliskości dojazd autobusem do wspaniałego jeziora u stóp wioski rybackiej Charzykowo, gdzie są łazienki, port klubu żeglarskiego, kajaki, wędki, słowem wszystkie uciechy z wodą złączone. Życzymy, aby ta wycieczka jak najlepiej panią zadowoliła.

P. Irenie M. w Warszawie. Walkę z żebractwem — prowadzą władze miejskie bardzo starannie, ale podobno już to stało się zorganizowanem towarzystwem. To też czytaliśmy, że tę plagę społeczną należałoby zwalczać — odmawianiem jałmużny. Ale byłaby to nieraz krzywda właśnie dla tego jednego pominiętego, któryby naprawdę jałmużny potrzebował. Zarząd miasta wydaje 1.000 zł. dziennie na walkę z żebractwem, umieszcza w domu pracy przymusowej, stwierdza ucieczki stamtąd, na setki oblicza recydywistów, ale wszystko to się tłumaczy niemożnością dania roboty wszystkim i w tem początek nienormalnych stosunków.

Matce kilkorga dzieci... Śliczne wydawnictwa dla różnych wiekiem dzieci są p. Aliny Kwiecińskiej. ,,Bibljoteka książek różowych'', zadowolni panią niezawodnie. Adres Redakcji: Warszawa, Bagatela 13. A jeśli pisemko — to tylko ,,Mały Apostoł''. Znajdzie w niem pani tyle treści, że będzie o czem dzieciakom opowiadać z jednego numeru przez cały miesiąc, dopóki następny nie przyjdzie. Adres Redakcji: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. Cena tylko 1 zł. 70 gr. — rocznie.

P. Emilji Cisz... z Opola. Doskonale obmyślona jest ,,Opieka Polska nad rodakami na obczyźnie'', której Zarząd Główny jest w Poznaniu. Tam radzimy Sz. Pani zwrócić się listownie — przyślą niezawodnie ,,odezwę'' informacyjną — zawierającą wszelkie wskazania nieuniknionych formalności przy powrocie do kraju reemigrantów.

P. X. X. Budowa świątyni ,,Opatrzności'' powoli, ale postępuje. P. Prezes Rady Ministrów, obiecał w tym roku wyasygnować pół miljona zł. na świątynię, która ma być spełnieniem votum narodowego.

P. R. P. Nasze rękawiczki uzyskały takie powodzenie w Stanach Zjednoczonych, że fabryki łódzkie wysyłają duże transporty swych wyrobów, które znajdują zbyt niezawodny. Oby ich szło jak najwięcej, i jak najwięcej rąk zajęły te zamówienia!

P. T. G. w Piotrkowie, zapewne już Sz. Pani odebrała naszą kartę — w każdym razie notujemy, że odnośne informacje zbieramy i nieomieszkamy przesłać ich Sz. Pani.

Pannie Marysi w Łomży. Wszystkie materjały deseniowe są nadzwyczaj modne. Kropki, kratki, kwiaty i bardzo kolorowe sukienki, które zwłaszcza z młodością doskonale harmonizują. Oczywiście nie radzimy na bardzo wzorzyste materjały, zużywać dużo pieniędzy, bo te najczęściej szybko się opatrzą. Ale i tanich jest dużo, a do bardzo kolorowych, czarny czy biały kapelusik, takiż bucik i rękawiczki, wykończają doskonale ubranie w całości.

P. W. Z. w Lublinie. Morszyn podobno cuda robi w dolegliwościach, o których pani pisze, ale żadnej kuracji bez porady lekarza — przedsiębrać nie można. Więc najpierw doktór, potem kuracja, której dobrych skutków życzymy.

KĄCIK DLA DZIECI

W PASIECE.

Stefek i Irenka bardzo lubili miód. Wiedzieli, że pszczółki go robią, ale prawdę powiedziawszy tak bardzo się tem nie interesowali. Najważniejsze to, że miód jest i że go bardzo lubią. W tym roku pojechali na wieś do wujka, który miał śliczną pasiekę i z zamiłowaniem się temu zajęciu oddawał. Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe przestraszył ich wujek, swym dziwnym strojem, ubrany w kitel płócienny, na twarzy miał założone sitko i głowę płótnem okrytą, i tak wszedł do pokoju.

— Ojej, co wujek robi? — krzyknęła Irenka — czy wujek chce nas przestraszyć? — dodała płaczliwie. — Roześmiała się mamusia Irenki; ależ córeczko, czyż nie widzisz, że wujek idzie do pszczółek! — Wraca od pszczółek — poprawił ją wujek — i ot co wam przynosi — dodał z uśmiechem, stawiając talerz na stole. — Plaster miodu! — wykrzyknął Stefek — klaszcząc w ręce. — A tak plaster miodu — przytaknął wujek wesoło — chciałem wam pokazać w czem to pszczółki miód składają. — Szczęśliwe pszczółki — westchnął Stefek — tak sobie z kwiatka na kwiatek przelatują, miodek zbierają, a nie tak jak my, co to większą część roku w szkole siedzieć musimy i ciężko pracować. Uśmiechnął się wujek: — nie wiem, czybyś się tak pomieniał chętnie z pszczółką, gdybyś się przyjrzał dokładnie jej życiu. — — A bo co, wujku? — — A bo co? — powtórzył wujek — wiecie co, wezmę was jutro i pokażę wam w pasiece jak to pszczółki pracują i opowiem wam dużo o nich ciekawych rzeczy. — A pszczółki nas nie pogryzą? — spytała strachliwie Irka. — Pszczółki nie gryzą, pszczółki żądlą — poprawił ją wuj łagodnie — nic wam nie zrobią, jeśli zastosujecie się do moich poleceń. Więc najpierw musicie ubrać się w płócienne ubrania, bo pszczółki bar-

dzo nie lubią wełny, następnie niech Irka nie myje rączek pachnącem mydełkiem, bo one wszystkich zapachów miłych i nie miłych nie znoszą u ludzi i zwierząt. A jak będziecie już w pasiece, to nie stawajcie nigdy przed tak zwanem oczkiem, czyli drzwiami ula, bo pracowitą pszczółkę bardzo gniewa, gdy natrafia na przeszkodę w drodze i zatrzymanie w pracy.

Nazajutrz z bijącemi serduszkami szły dzieci za wujkiem w kierunku pasieki. Po drodze pokazywał im wujek różne kwiatki specjalnie siane, by pszczółki miód z czego zbierać miały, pełno ich tam brzęczało nad kwiatami. Gdy weszli do pasieki, gdzie rzędami wśród lip wysokich stały piękne ule, podprowadził ich wuj do jednego i, postawiwszy ich z tyłu ula, podniósł daszek. — Ojej! — wykrzyknęła Irenka — pszczoły na nas polecą! — Nie bój się — uspokoił ją wuj — to jest ul obserwacyjny. Widzisz cały pokryty z góry pod daszkiem szkłem i ściany też ma szklane, tak że możesz wszystko widzieć, nie przeszkadzając pszczołom. Popatrzcie! — Dzieci pochyliły główki nad szkłem i jedno przez drugie wydawać jęło okrzyki. — Wujku — wołał Stefek — co ta pszczoła robi? — siedzi na plastrze miodu, podnosi co chwila odwłok, czyści go łapkami, a teraz znów siadła spokojnie i jakby głową kiwa... A widzisz, Stefku, to jest młoda robotnica, która lepi plaster miodu. Właśnie te śliczne garnuszeczki, któremi się tak wczoraj zachwycałeś. Pod odwłokiem ma t. zw. blaszki przez które wydziela miód, zgarnia go łapkami i wkłada do pyszczka, by pogryźć go silnemi szczękami i przerobić ze śliną i wtedy przylepia taką grudkę, czyli „wyciąga" plaster. Czy wiecie, że pszczoła, by wytworzyć 1 kg. wosku, musi zjeść 10 kg. miodu i jeszcze prócz tego sporo pyłku kwiatowego. Teraz zapewne nie dziwicie się, że wosk taki drogi. A ile taka maleńka pszczółka napracować się musi, widzicie jak lepi ten plaster, ile już wosku zebrała, a jak wolno garnuszek na miód rośnie.

W dalszym ciągu zobaczyły dzieci, jak się młoda pszczółka wydostawała z komórki, jak najpierw podnosić się zaczęło wieczko, coraz silniej pchane od środka, aż wreszcie wysunęła się głowa i wreszcie cała młoda pszczółka, dziwnie zmięta i zgnieciona; zaraz podbiegły do niej duże pszczoły, jedne ją oczyszczały i wygładzały, inne ją karmiły. — To są takie pszczele nianie —wujku? — zapytała Irenka. — A tak — skinął wuj poważnie głową. — Takie nianie. Nie wiele czasu upłynie a ta też taką nianią zostanie. — A potem zaczął dzieciom opowiadać, jakto pszczółka po wylęgnięciu się, najpierw pyłek kwiatowy przerabia w plastrach, na pokarm dla czerwia, czyli malutkich gąsieniczek, z których się pszczółki wylęgną. Jak potem nianią jest, jak karmi te małe, jak się opiekuje świeżowylęgłemi, jak potem z kolei wosk wyrabia, aż gdy jej już sił brak do tej roboty, wtedy dopiero wylatuje na dwór i to jeszcze wtedy nie zbiera miodu, nie. Najpierw zbiera pyłek z kwiatów, zbiera go przedniemi łapkami, skręca w kuleczkę i nakłada do koszyczków, które ma na tylnych nóżkach, a po przyleceniu do ula, wyczyszcza łapki tylne szczoteczkami przednich i znów leci po nowe zapasy. O, widzicie, — wskazał dzieciom — pszczołę ciężko lecącą, która prawie bez tchu padła ciężko u wejścia do ula, i dopiero po chwilowym odpoczynku wsunęła się w otwór wejściowy. — Właśnie ona pyłek niesie do ula i zanadto się obciążyła, pomyślcie, pszczoła przenosi na swych łapkach za jednym przelotem tysiączne części grama, a jednak dobry ul jest w stanie zebrać 1 kg. pyłku dziennie! — Wujku — zapytał Stefek — a kiedy ona miód zbiera? — Zaraz i o tem się dowiesz — skinął wuj — więc gdy już nie zdolna jest do niańczenia młodych ni lepienia plastrów sił niema, wtedy leci zbierać pyłek, i zbiera go póty, póki się jej koszyczki i szczoteczki na łapkach nie zetrą, wtedy dopiero, gdy do innej pracy nie zdatna, leci miód zbierać i znosić do ula. I robi go tak długo, póki nie padnie z wyczerpania. No co, Stefku, lepiej być pszczołą, czy w szkole siedzieć? — Wie wujek — podziwiam te pracownice, ale już wolę siedzieć nad łaciną.

H. Rostafińska-Choynowska.



PRZYJACIELE

Chociaż kły ma ostre — poczciwe to zwierzę
Jak umie najlepiej małej Neli strzeże.
Nela się nie boi zostać sama w domu,
Bo Rex krzywdy zrobić nie da jej nikomu.
Zaraz kły wyszczerza — warczy groźnie, głucho,
Gdy głos podejrzany podrażni mu ucho.
Lecz, gdy spokój wkoło, pełen jest uciechy: —
Szczeka Rex wesoło, Neli słychać śmiechy,...
Bo co chce — wyrabia z Rexem jego pani,
On ogonem kręci — niczego nie gani.
Pareczka przyjaciół: Rex i Nela mała —
Jak na tym obrazku wam się podobała?

H. R. Ch.

W LIPCU

Szumią zboża, chyląc kłosy,
Oj! Jak ciężko nam.
Proś, skowronku, o pogodę
Hen u niebios bram.
Niechaj przyjdą już żniwiarze
Po ten ciężki kłos,
Bo dostałe zboże złote
Prosi się już kos.
Ziarno sypie się obficie
Będzie chleba w bród —
Szczęść im Boże — ubłogosław
Ten żniwiarski trud.

H. R. Ch.

MIŚ I LIS

— Mój niedźwiadku zleś się wybrał
Tutaj szukać roju,
To kąśliwe pszczoły leśne...
Zostaw je w spokoju!
Za ten marny plaster miodu
Potną ci nos, uszy...!,
Ale misio tą przemową
Lisa się nie wzruszy.

Żebyś łaził tak po drzewach
Jak ja — miś zasapał —
Tobyś morałów nie prawił
Leć za mną się wdrapał.
Że nie umiesz — to pszczołami
Straszysz złośliwemi:
Żebym miodu nie spróbował
Zostawszy na ziemi.

H. R. Ch.

Redaktor: **Dr. Józef Zawidzki.** Wydawcy: **Stow. Mis. Księży Pallotynów.**
Redaktorka działu kobiecego: **Lucyna Kotarbińska.**
Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej — Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

Po zakończeniu w numerze czerwcowym „R. P.” drugiego konkursu kwartalnego, zostaje odtąd system prowadzenia działu rozrywkowego zmieniony, mianowicie w miejsce prowadzonych dotychczas konkursów kwartalnych, wprowadzamy obecnie w każdym numerze odrębny dział dla siebie, wyznaczając w nim każdorazowo, do rozlosowania jedną nagrodę książkową. Będzie to o tyle korzystniejsze, że ustanie odtąd przewlekłe i zniechęcające wyczekiwanie na rezultaty konkursów kwartalnych, — spodziewamy się zatem, że korzystną zmianę powyższą przyjmą Czytelnicy z zadowoleniem, a jednocześnie zachęcą się do żywszego brania udziału w rozwiązywaniu zadań.

Termin nadsyłania rozwiązań zadań dla każdego numeru pozostaje niezmieniony, t. j. trzytygodniowy od daty otrzymania numeru, rozwiązania zadań i wynik losowania zaś podawać będziemy w każdym numerze trzecim.

Przy tej sposobności prosimy PP. Szaradzistów-Autorów o nadsyłanie prawidłowo ułożonych zadań rozmaitego typu, możliwie aktualnych i łatwych w rozwiązaniu, które w miarę wolnego miejsca chętnie zamieszczać będziemy.

ZADANIA

CYKL „SZARADY RELIGIJNE“ ku czci Najśw. Panny Marji.

(Ciąg dalszy).

X.

Gdy **z-czwarta-piąta** myśl tobą zawładnie,
ziarno zwątpienia gdzieś w duszę zapadnie,
jakiś bunt cichy rwie duszę na strzępy,
mózg twój obsiądą czarne kruki, sępy,
widzisz przed sobą otwarte otchłanie, —
wówczas **trzy** tobie Matka, Marja, stanie!
Pięć duszę twoją spłynie pokój boski,
znikną zwątpienia, zbledną bóle, troski!
Raz biedne dziecię, że **pięć** twe wezwanie
oddali Matka za grzechy karanie, —
o! **dwa** to można i wszechmocna Pani!
Usunie grot ten, co serce twe rani.
O **pierwsza-druga** cień miły dająca
dla strudzonego podróżą wędrowca,
ratuj nas **Cała** od burz i zamieci,
niech jak drogowskaz Twoje Imię świeci!

XI.

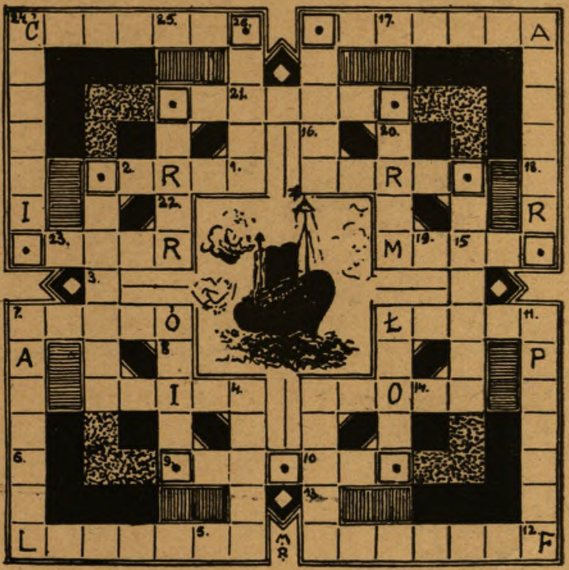
Pierwszy-drugi pszenny, schylony w po-
[korze,
złotem się mieniący, gdy zabłysną zorze!
Gdy nad Tobą wzlecą wesołe skowronki,
cały dzień Ci dzwonią, jak srebrzyste
[dzwonki!
Trzeci-czwarty-piąty żytnich kłosów łanie!
Któż opisać wiernie piękność Twą jest
[w stanie,
piękność najprawdziwszą chlebnych Twych
[warkoczy?
Spraw, by ją **trzy-czwór-pięć** wszystkich
[ludzi oczy!
Ty Panienko nasza! Najcudniejszy **Cały**!
Ludzkich dusz pokarmie! Chlebie wonny,
[biały!
Pierwszy-drugi pszenny! Ofiaro kapłana!
W Tobie moc jest wielka, moc nieporów-
[nana!

XII.

Raz, Cały słodki! Słódź życia gorycze!
Nasyć zgłodniałe i łaknące serca, —
bo świat wygłodniał, ten świat przenie-
[wierca, —
niech lek **czwór-piąty** gorycz serca leczy!
Pierwszy-dwa-trzeci przedziwnego smaku,
Tyś jest pokarmem dla duszy człowieczej!
Lecz duszne rany, niech trwoga uciecze!
Niech po dniach smutku nie zostanie
[znaku!
Pięć-czwarta Boża! Rodzicielko łaski
dająca dary bogate, wspaniałe:
Róż aksamity oraz Lilje białe, —
Ty słodki **Cały**! Rozsiej wkrąg Swe blaski!

H. Mokrzycka (człon. Kl. Sz.).

WĘŻOWNICA.



W kratki figury, poczynając od cyfry 1, należy wpisać wirowo 26 wyrazów, o niżej podanych znaczeniach. Litery końcowe i początkowe wyrazów są wspólne. Dla ułatwienia podane są niektóre litery na właściwych miejscach. Następnie należy obejść całą figurę, również od kratki z cyfrą 1, w tym kierunku, w jakim były wpisywane wyrazy, — a litery, napotkane w kratkach z czarnemi punktami, odczytane po porządku, dadzą aktualne rozwiązanie, które podać można bez wyrazów wężownicy.

Znaczenia wyrazów: 1. Kolor w kartach. 2. Nóż z 2 rękojeściami do strugania drzewa. 3. Wędzidło (munsztuk). 4. Rurka do wciągania dymu z fajki. 5. Grecki bohater mityczny, uosobienie siły. 6. Ptak wróblowaty, śpiewający. 7. Miasto w Polsce. 8. Podmuch. 9. Instrument do wabienia ptaków. 10. Ptak z rodz. dzięciołów. 11. Podrobiony utwór piśmienniczy. 12. Wystająca izdebka na poddaszu. 13. Wiatr północny. 14. Wielka sieć rybacka. 15. Pieśń pochwalna na czyjąś cześć. 16. Kompas morski. 17. Framuga w murze na okna. 18. Ogromna flota wojenna. 19. Miłostki. 20. Mleko zsiadłe z fermentem maya, zalecane na przedwczesną starość. 21. Pieszy zapaśnik w walkach byków. 22. Aljaż miedzi i cynku. 23. Rodzaj smoły. 24. Gwóźdź żel. z wypukłą główką. 25. Bryła lodu. 26. Przedmiot przestarzały.

M. Rossa.

Za rozwiązania powyższych zadań (lub choćby jednego), przeznacza Redakcja do rozlosowania **nagrodę książkową.**

ROZWIĄZANIA ZADAŃ

I i II KONKURSU KWARTALNEGO 1935,

zamieszczonych w numerach I półrocza 1935, na które złożyły się następujące zadania (z wyszczególnieniem ilości punktów za rozwiązania):

1. Rebus (Kaczyńscy Cz. i W.) . . . 5
2. Logogryf („Eszet“) 6
3. Szarada (A. T. Górecki) 3
4. Łam. matem. (M. Budko) 3
5. Zagadki („Eszet“) 4
6. Rebus (M. Budko) 6
7. Szarada (A. Mieczkowski) 3
8. Łamigłówka („Dżon“) 2
9. Rebus (T. Goszcz) 5
10. Krzyżówka (E. Leitnerówna) . . 5
11. Szarada (J. Modrzejewski) . . . 3
12. Homonimy („Jawnuta“) 4
13. Rebus („Eszet“) 5
14. Mag. adres (M. Budko) 4

(razem 58 punktów).

1. Szarada (H. Mokrzycka) 4
2. dtto 4
3. dtto 4
4. Eliminatka („Lar“) 5
5. Logogryf (W. Nosé) 4
6. Logogryf (K. M. z O.) 3
7. Zagadka („Kasta“) 4
8. Figielki szar. (A. Leitner.) . . . 3
9. Rebus (A. Szyszkowski) 5
10. Szarada (H. Mokrzycka) 4
11. dtto 4
12. dtto 4
13. Logogryf (M. Budko) 5
14. Szarada (J. U. Wonschowa) . . . 5
15. Szarada (H. Mokrzycka) 4
16. dtto 4
17. dtto 4
18. Zębatka (A. Szyszkowski) 5

(razem 75 punktów).

Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosiła zatem: w kwartale I p. **58** i w kwart. II p. **75**.

Zgodnie z warunkami, przypadły w drodze losowania nagrody książkowe w obydwu konkursach następującym osobom:

Kwartalne:

p. Wicherek Leonard — Warszawa,
p. Kwiekowa Jadwiga — Dobrzelin,
p. Stuczyńska Julja — Będzin,
p. Bednarski Jan — Warszawa.

Miesięczne:

p. Piskorski Kazimierz — Ostrów p.,
p. Barde Adolf — Warszawa,
p. Mykietyn B. — Złoczów,
p. Jagielski J. — Warszawa.

Autorskie:

pp. Kaczyńscy Cz. i W. — Krzemieniec,
p. Mokrzycka Helena — Drohobycz.
Nagrody rozsyłamy równocześnie pocztą.

M. Sł.

SZARADZIŚCI POPULARYZUJCIE „RODZINĘ POLSKĄ“

ZE ŚWIATA RADJA

„VERBUM NOBILE" NA FALACH ETERU.

W operach swoich przenosi nas Moniuszko w najróżniejsze środowiska staropolskiego życia. Raz jestto dwór arystokratyczny, drugi raz wieś polska, tym razem, „Verbum nobile" do tekstu Jana Chęcińskiego, mały, szlachecki zaścianek. Mały skromny lecz jakże sympatyczny w swej prostej, szczerej, serdecznej atmosferze. Dobrze znał ją Moniuszko, tę atmosferę wiejskiego dworku, bo sam wśród niej dzieciństwo swoje spędził. To też potrafił ją w muzyce oddać znakomicie, pełną życia i werwy, świeżości i humoru, bezpośredniości i prostoty, tych charakterystycznych cech muzyki moniuszkowskiej. Oto treść sztuki: Stanisław zobaczył w kościele śliczną Zuzię, z miejsca zakochał się i pogonił za dziewczyną na swej bryczce ku wielkiemu strapieniu starego sługi Bartłomieja. Bryczka złamała się, chłopak wypadł i zwichnął rękę; znalazł opiekę w dworku pana Serwacego Łagody, ojca tejże samej Zuzi. Młodzi pokochali się, ale ojciec na związek ten zgodzić się nie może, bo związany jest „verbum nobile", które ongiś dał swemu przyjacielowi, gdy Zuzia była jeszcze małą dziewczynką. Obiecali sobie oba przyjaciele, że dzieci ich w przyszłości pobiorą się. Jak Deus ex machina zjawia się sam przyjaciel. Przyjechał, by złożyć Zuzi życzenia imieninowe, które właśnie na ten dzień przypadają. Pokazuje się, że Stanisław to właśnie jego syn, który zataił poprzednio swe prawdziwe nazwisko. Radość naturalnie ogromna.

Jak zwykle w dziełach Moniuszki, tak i w „Verbum Nobile" tchnie muzyka młodzieńczem życiem, świetnością wyrazu i prostotą. Sceny obyczajowe, jak chór chłopów, którzy przyszli, by złożyć Zuzi swe życzenia i kwiaty, lub rozmowy, panów Serwacego i Marcina, utrzymane w staroszlacheckiej gwarze, należą do scen szczególnie udanych. Do najpiękniejszych jednak dzieł należy oracja pana Marcina do Zuzi, przechodząca w rycerski, dumny polonez. Pozatem tak jak zawsze u tego pieśniarza bożego — Moniuszki, opera obfituje w wielką ilość ślicznych, śpiewanych i melodyj.

MUZYCY ZAJMUJĄCY SIĘ RADJEM — MÓWIĄ...

— Kierownicy działów muzycznych nie powinni ulegać wpływom gustu słuchaczów, lecz odwrotnie, kierować ich gustem i nie zważając na opozycję i protesty — przeprowadzać swój program, którego zadaniem powinno być podniesienie poziomu kultury muzycznej ogółu.

— Program audycyj ze studja radjowego powinien mieć inny charakter, aniżeli program koncertu z sali. (Tak samo przedstawienia operowe ze studja podlegają innym warunkom niż z teatru). „Forma" programu posiada wielkie znaczenie. Bardzo ważną okolicznością w programie audycyj radjowych jest obudzenie zainteresowania słuchacza od początku audycji, od jej pierwszego numeru, który powinnien posiadać już wielką siłę atrakcyjną. Program audycyj ze studja nie potrzebuje „wstępów" w postaci uwertur, preludjów itp. i może się rozpoczynać odrazu od utworu większej formy (symfonji, koncertu z orkiestrą, poematu symfonicznego, oratorjum), może również zawierać wogóle tylko jeden większy utwór.

— Maksymum trwania opery ze studja nie powinno przekraczać półtorej godziny. Opera powinna mieć skróty syntetyczne i podana być w formie „radjofonizowanej". BBC nadaje zwykle tylko jeden akt odrazu, czasem dwa, wniosku tego nie podzielili delegaci włoscy, gdyż stacje włoskie nadają opery w całości z powodu wielkiego zainteresowania operą wśród słuchaczów włoskich.

Interesująca forma sprawdzenia zainteresowania słuchaczów audycją; opóźnienie nadawania audycji (10-minutowe) dla sprowokowania protestów telefonicznych. (Ilość tych protestów odpowiada zainteresowaniu, które audycja obudziła).

— Idealny system programu: ten sam rodzaj muzyki o tej samej porze w tym samym dniu tygodnia.

— Niezbędność przy wykonaniu utworów muzyki poważnej krótkiego omówienia programu, przy wykonaniu zaś nowych utworów — analiza utworu. Omówienie powinno poprzedzać każdy utwór, a nie całość programu.

— Należy ratować pieśń ludową przed zagładą: nadawać pieśń tę w możliwie autentycznej formie w pierwszorzędnem wykonaniu (cykle dzielnicowe).

CZY WIECIE ŻE...

— Anglja i Danja nie potrzebują już żadnej propagandy na rzecz radja, gdyż zbliżają się już do granicy maksymalnego nasycenia rynku aparatami radjowemi.

— Z powodu braku odpowiedniej sieci kabli telefonicznych Rumuńskie radjo nie mogło dotychczas urządzać żadnych transmisyj z poza Bukaresztu. Na jesieni jednak ma być gotowa sieć kablowa między następującemi miastami: Jassy, Braila, Konstanza, Kraiova, Cluj, Timisoara i Oradea, wówczas zaś transmisje odbywać się będą bez trudności.

— Programy radjowe w ubiegłym roku nadawało 1448 stacyj.

— Radjo niemieckie przeznaczyło 3.000 marek nagrody za najlepsze konkursowe słuchowisko. Łączna suma nagród w tym konkursie, który odbywa się pod hasłem „Kto pisze najlepsze słuchowiska" wynosi 5.250 marek.

— W Johannesburgu (Afryka południowa) buduje się obecnie wspaniały gmach radjowy, który będzie kosztował 50.000 funtów szterlingów. Gmach będzie miał osiem pięter i 13 studjów radjowych.

— We Francji przeprowadza się badania nad zaopatrzeniem lokomotyw kolejowych w aparaty nadawczo-odbiorcze, pracujące na falach ultrakrótkich, celem wzmożenia stopnia bezpieczeństwa kolei.

— Chiny zamówiły u Marconiego siedem krótkofalowych stacyj nadawczych, które mogą pracować zarówno w służbie telegraficznej jak i radjofonicznej.

W połowie czerwca rozpoczęła działalność wielka stacja radjowa w Braszowie w Rumunji. Stacja pod nazwą „Radio-Romanie" nadawać będzie na fali 1875 m. z siłą 150 kw.

—W Kanadzie kursuje 32 aut specjalnie zbudowanych do wykrywania przeszkód w odbiorze radjowym.

— W tych dniach ukazał się rocznik radjofonji włoskiej p. n. „Annuario dell'EIAR dell'anno XIII" w cenie 5 lirów. Rocznik otrzymać można za pośrednictwem tygodnika „Radiocorriere" Via arsenale 21. Twirno Italiu.

— Na Węgrzech wydano przepisy o używaniu odbiorników radjowych w dorożkach samochodowych. Szoferowi nie można włączać odbiornika i słuchać audycyj — wolno to robić tylko pasażerowi. Wogóle nie można używać odbiornika w samochodzie na postojach i między godziną 10 wieczorem, a 7 rano. Za zainstalowanie odbiornika w dorożce płaci się normalną opłatę, ceny zaś za przejazd dorożką nie można podwyższać.

— W stolicy Urugwaju w Montevideo rozpoczęto budowę wielkiej krótkofalowej stacji nadawczej.

— W Niemczech przy Państwowej Izbie dla spraw Radjofonji utworzono specjalną radę telewizyjną, do której weszli przedstawiciele sfer naukowych, przemysłu radjowego, radjofonji Rzeszy Niemieckiej Izby Kultury i przedstawiciele krótkofalowców.

— Uniwersytet w Kolonji, który posiada dobrze zorganizowany Instytut Prasowy, polecił słuchaczom tego instytutu zaznajomienie się z metodami pracy w rozgłośni radjowej. W konsekwencji stworzony został specjalny kurs, na którym wykładali wybitni praktycy radjowi.